STRON: 12

CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE SIXPENCE (in U.S.A. and Canada 10c.)

Wychodzi co tydzień | Dnia 21-go grudnia 1946 r | Rok VIII. Nr. 51/52

Pokój Ludziom Dobrej Woli

„POLSKA WALCZĄCA“ ŁĄCZY SIĘ Z CZYTELNIKAMI, WSPÓŁPRACOWNIKAMI I PRZYJACIÓŁMI PO TEJ I TAMTEJ STRONIE OCEANU W SERDECZNEJ WSPÓLNOCIE UCZUĆ I ŻYCZEŃ, RAZEM Z NIMI WSZYSTKIMI KIERUJE MYŚL PEŁNĄ CZUŁEJ PAMIĘCI, GŁĘBOKIEJ TROSKI, ZAWSZE WIERNEJ MIŁOŚCI — W STRONĘ KRAJU I LUDZI, KTÓRZY TAM ŻYJĄ I TRWAJĄ W IMIĘ TEJ SAMEJ WIARY, POD ZNAKIEM TEJ SAMEJ NADZIEI

BOŻE Narodzenie zajaśniało i nauka Pana Jezusa jęła padać w serca, gdy świat starożytny, lśniący potęgą i przepychem, gromki przedsięwzięciami wojennymi, wspaniały dziełami pokoju, drążony był, jak długi i szeroki, jakąś niewidzialną a uporczywą udręką. Czegoś brakło. Gdy zgiełk przebrzmiewał i blask przygasał, a dusze zostawały same z sobą, kołatał w nich cichy i nieokreślony, lecz wszechobecny i natrętny, niepokój... pustki duchowej.

Ówczesny świat starożytny wytyczony stopami legionów rzymskich, był już rozległy i w swej nawierzchniej jednolitości Imperium Romanum bardzo wielobarwny. Od Morza Kaspijskiego i ujścia Eufratu z Tygrysem w Azji Bliższej na wschodzie, z całym aż po pustynię pobrzeżem śródziemnomorskim Afryki na południu, oparty na na zachodzie o Atlantyk lądem europejskim wraz z wyspą brytyjską, na północy sięgał poza Ren bieżąc wzdłuż i poza Dunajem do Morza Czarnego. Świat ten obejmował ludy wszech wiar bez jednej żywej wiary, której nie niosła im w sobie przodująca mu, kierownicza, twórcza mądrość grecko-rzymska.

Świat starożytny w dobie narodzenia i nauki Chrystusa miał już za sobą, po cywilizacjach blisko-wschodnich, wieki całe nie tylko wielkiej twórczości pięknej lecz i rozwoju ładu prawnego na rzecz jednostki w życiu obywatelskim oraz w zakresie ustroju państwa i stosunków międzynarodowych przyjaznych lub nieprzyjaznych. W dążeniu do uprawnień obywatelskich, przeciw pierwotnym samowładztwom, w Grecji zrodziła się istota i nazwa demokracji, która w ciągu pięciu wieków rozwoju stawała się z ograniczonej przywilejami powszechną, potem wybujałą, w końcu zwyrodniałą, ułatwiając nawroty samowładztwa, a jednocześnie, w dziedzinie łączenia państewek mniejszych w państwa narodowe przeżyto okres federacji wraz z hegemoniami czyli przewagami dzielnicowymi, aż do helleńskiego państwa światowego w obrębie wschodnio-śródziemnomorskim od Aleksandra Wielkiego i poprzez jego rozpad do podboju przez Rzym. Podobnie w Italii, po rządach królewskich, nastał ustrój republikański z wzrostem praw obywatelskich i później z rozstrojem, który poprzez wojny domowe doszedł do samowładztwa z Cezarem i zwłaszcza jego następcami, przy jednoczesnym rozroście Imperium Rzymskiego.

Więc w okresie zjawienia się Chrystusa nie był to świat pierwotny, rozglądający się dopiero za drogami rozwoju i urządzeń życia jednostki w zbiorowości oraz całej zbiorowości, lecz bogaty w przeżyte w ciągu wieków doświadczenia nieraz jakby już naprawdę... przeżyte.

Ład prawny Imperium Rzymskiego opierał pracę na niewolnictwie i znał tylko uprzewilejowaną warstwę obywateli rzymskich. Głęboka nierówność dzieliła też od Rzymu podbite kraje Imperium. Ponieważ zaś samowładztwo i nierówność zawsze pęcznieje zachłannością, rozszerzanie praw obywatelskich na uprzywilejowane grupy ludności Imperium mniej ważyło niż sprowadzanie do pozoru praw wszystkich obywateli rzymskich także w Rzymie i Italii, niepewnych dnia i godziny wobec samowoli.

Pod przytłaczającymi przejawami potęgi, wśród ogromu przedsięwzięć, w rozpędzie i rozgłosie działań, narastała w duszach przyrodzona tęsknota do swobody, do pewności jakiegoś zakonu praw ludzkich, do uznania w człowieku człowieczeństwa, do sprawiedliwości, do wolności.

Cała mądrość starożytna, grecko-rzymska, z podkładami dawniejszymi i nalotami postronnymi, świetna, pewna siebie, wszechstronna, która przeorała wszelkie dziedziny życia tej tęsknocie nie wskazywała światła ni światełka. Co więcej, ona właśnie, przyziemna w miarę narastania swej pychy rozumu, przesłaniała duszom ludzkim spojrzenie w przestworza, ku niebu, ku czemuś nadprzyrodzonemu. Po rozwianiu się mglistych postaci z różnych Olimpów w obszarach Imperium Rzymskiego wystarczyć miała zawleczona ze wschodu cześć boska Cezarów.

Wtedy to Chrystus rzekł:

— Oddajcie co cesarskiego Cezarowi, co boskiego Bogu.

Mówił to, głosząc wraz z prawem Bożym na ziemi, miłość bliźniego, sprawiedliwość, prawdę w myśli i czynie.

Zwiastowana Bożym Narodzeniem i rozpostarta nad światem na wsze czasy z Krzyża męki Chrystusa, nauka Jego powiodła ludzkość na dalsze szlaki rozwoju potęgą światła, jakiej nic i nigdy w bezkresach jej dziejów nie dorównało.

*

Chrześcijaństwo, jako wiara w dobroć, prawdę i sprawiedliwość, nie zwyciężyło w świecie jedną bitwą od wschodu do zachodu słońca. Skłonności i moce zaburzające życie ziemskie nie przepadły w mgnieniu oka. Z chrześcijaństwem weszła ludzkość na drogę długą, drogę ciągłą, drogę wieków i wieków, na której codziennie powtarza prośby zawsze na czasie:

— Przyjdź Królestwo Twoje... chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... zbaw nas ode złego...

I w każdej dobie dziejów powtarza też słowa Bożego Narodzenia:

— Pokój ludziom dobrej woli!

Od blisko dwu tysięcy lat chrześcijaństwa ileż razy nieustanne zmaganie się dobrego ze złem w życiu nabrzmiewało jakby w całkowity nawrót walki, w któr[illegible] jak wówczas gdy Chrystus wznosił [illegible]ndar Swej nauki, odżywało też ówczesne przeciwieństwo między siłami nie znającymi praw innych, niż przemoc a wiarą w sprawiedliwość.

*

Nigdy zaś w ciągu tego blisko dwutysiąclecia nawroty ku mrokom przedchrześcijańskim nie zaznaczyły się tak dobitnie jak w naszej dobie.

Bywały chwile dziejowe, tj. lata lub dziesiątki lat, w których w opokę świata na chrześcijańskich pojęciach zbudowanego biły dążności rozstroju. Istotą ich było zawsze lekceważenie wiary i prawa w pysze rozumowań i w pożądaniu władzy. Zwykle przesłaniały one te skłonności burzycielskie hasłami mylącymi.

Lecz dwa kolejne wielkie przewroty, bolszewicki w Rosji, a następnie nacjonal-socjalistyczny w Niemczech, założyły dźwignie podkopów tak głęboko, jak nigdy przedtem, celem podważenia podwalin świata chrześcijańskiego. Zarówno bolszewizm jak nacjonal-socjalizm w miarę swego rozrostu chełpiły się i pyszniły przewrotem, jakiego w dziejach nie było. I to jest prawda, a nie czcze przechwałki, gdyż oba one, w Rosji i w Niemczech, biegunowym przeciwstawieniem się dotychczasowym pojęciom świata chrześcijańskiego, skrajnością i bezwzględnością działania, rozmiarami władania, przewyższyły wszystko co znała przeszłość.

Któż mógł przewidywać na progu wieku XX-go — po stuleciach ruchu i starć, ale zarazem wielkiej twórczości, postępu nauk, udoskonaleń społecznych i swobody obywatelskiej, podejmowanych w obrębie cywilizacji chrześcijańskiej i tym samym wzmacniających ją i wzbogacających niezmiernie żywo, wartko i wydatnie — że w Rosji, na skraju Europy, bezbożnictwo bolszewickie, i następnie w Niemczech, w środku Europy, pogaństwo lub niemal pogaństwo nacjonal-socjalistyczne, odrzucą wiarę w Boga, uznają rozrost i zapewnienie własnej władzy za cel najwyższy, dla którego osiągnięcia i utrwalenia zgniotą wszelkie zasady uczciwości, sprawiedliwości i godności, pogwałcą wszelkie prawa, popełnią wszelkie najdziksze zbrodnie, rzucając w udrękę miliony i miliony ludzi, ujrzą głównego wroga w swobodzie myśli człowieka i społeczeństw, oprą swój świadomie głoszony nowy ustrój świata na niewolnictwie człowieka i niewoli narodów?

Jest to, naprawdę i bez jakiejkolwiek przesady wywołanej szczególną wrażliwością wobec zjawisk bezpośrednio bliskich, największe uderzenie w toku dziejów w podstawy i w budowlę świata chrześcijańskiego, tak głębokie i rozległe, że pospolicie raczej jest niedoceniane niż przeceniane w swej grozie.

Była chwila, w przeddzień wybuchu wojny r. 1939 i w jej początkach, gdy Rosja bolszewicka i Niemcy nacjonal-socjalistyczne, w jawnych i tajnych układach, podały sobie ręce i przystąpiły razem do obalania świata dotychczasowego. To współdziałanie, które ułatwiło w pierwszym okresie wojny druzgocące postępy Niemcom i zapewniło Rosji zdobycze bez wysiłku oraz dogodne przysposobienie się do dalszego biegu zdarzeń, mogło niezmiernie pogłębić niebezpieczeństwo. Ale życie ma swe prawa żywiołowe, których żadna wola trwale nie opanuje, a takim prawem wewnętrznym, zarówno bolszewizmu rosyjskiego, jak nacjonal-socjalizmu niemieckiego była całkowitość i wyłączność dążeń każdego z nich tylko dla siebie.

Podczas gdy Rosja, licząc na wyczerpywanie się Niemiec, czekała na swą chwilę wśród wytężonych przygotowań, Niemcy, które zamierzały po rychłym uporaniu się na zachodzie zwrócić się przeciw Rosji, utknęły na oporze Wielkiej Brytanii, a wtedy przyparte były do rozpaczliwej próby jednoczesnego uderzenia na Rosję w nadziei szybszego zakończenia na wschodzie. Temu wysiłkowi na dwie strony Niemcy nie sprostały i legły na boisku, co jednak zmagania nie zakończyło. Rosja bowiem, początkowo wspólniczka Niemiec w uderzeniu na świat cywilizacji chrześcijańskiej, następnie ocalona rozdwojeniem sił niemieckich i ogromną pomocą zachodnią, ale zawsze wyłączna w swych celach własnych, tak zachłannych jak żadne inne od wieków, posuwała swe władanie i pola wypadowe swych niezmiennych dążeń tak daleko ku zachodowi w środek Europy, jak nie mogła się widzieć nawet w marzeniach. Z dwu wspólników światoburczego przedsięwzięcia, Niemiec i Rosji, w latach 1939-41, pozostała, jako wyłączna spadkobierczyni całego złowrogiego zamierzenia, Rosja, podniecona, w latach 1945-46, rozrostem swego władania i tym zaciętsza w swych dążeniach.

Świat cywilizacji chrześcijańskiej zrozumiał grozę uderzenia niemiecko-rosyjskiego z r. 1939. Od chwili, gdy Polska stawiła opór i padła pod naporem z obu stron, dzieło obrony tej cywilizacji dopisało potrzebie ogromem wysiłku pod przewodem Imperium Brytyjskiego i St. Zj. Ameryki. Świat cywilizacji chrześcijańskiej rozumie również, w końcu r. 1946, cały dotychczasowy przebieg zmagania się i, jak świadczą głosy i zdarzenia codzienne, wie dobrze, iż nie jest skończona obrona tak zagrożonego jak nigdy dotychczas dzieła, które zaczęło się blisko dwa tysiące lat temu Bożym Narodzeniem, by dać na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

STANISŁAW STROŃSKI

rysował WOJCIECH JASTRZĘBOWSKI



ROZWAŻANIA WIGILIJNE

Artykuł specjalnie napisany dla „Polski Walczącej"

Zimowe przesilenie dnia z nocą, które Kościół Katolicki ochrzcił i ochrzciwszy wybrał na święto Boga wcielonego w człowieka to, w jeszcze większym stopniu, niż Wielkanoc — wielkie święto naturalnego triumfu życia nad śmiercią. Podczas gdy Wielkanoc jest głównym świętem Kościoła dlatego, że głosi wieść o życiu nadprzyrodzonym i wiekuistym, objawionym ludzkości — Boże Narodzenie to wielkie święto narodzin według przyrodzonego porządku, łącznie z narodzinami Pana Naszego jako człowieka.

Ustanowiono to święto na czas zimowego przesilenia dnia z nocą, bo to naprawdę zwrotny punkt roku — punkt, od którego z każdym dniem przybywa trochę światła aż do chwili gdy, w sześć miesięcy później, następuje letnie przesilenie dnia z nocą.

A że, Boże Narodzenie jest uczczeniem narodzin i płodności, że takie święto obchodzono na długie wieki przed Chrystusem — jest to chwila roku szczególnie odpowiednia, by ludzie zastanawiali się nad podstawami ładu społecznego, nad współżyciem, które tworzy narody oraz społeczności narodów, jak tworzy rodziny. Nie jest też dziełem przypadku, że przedmiot ten wiąże się ściśle z nawoływaniem o dobrą wolę i o istnienie dobrej woli, jako nieodzownego wstępu do jakiegolwiek prawdziwego pokoju pomiędzy ludźmi.

Jest to paradoks historii, że każde społeczeństwo cywilizowane szukało stabilizacji, ceniło swój dom i jego tradycje, gdyż bezpieczeństwo i trwałość bytu stanowią podstawę wszelkiej pracy; paradoksalne wydaje się też, że osiągnięcia cywilizacji polegają w znacznej mierze na pewności i spoczynku, gdy czynnikiem cywilizacji jest podróżnik, człowiek wędrowny, przenoszący idee i nowe sposoby działania od jednej społeczności do drugiej.

Historyk belgijski, Jacques Pirenne, w obszernym dziele o wielkich prądach w dziejach świata dowodzi, że to morza i kraje posiadające dojście do morza, były głównymi nosicielami cywilizacji śródziemnomorskiej, a zatem, wówczas, europejskiej. Było tak od czasów Greków — ciekawych, przedsiębiorczych podróżników a Herodot był ich wielkim przedstawicielem. Powszechnie znany jest fakt, że społeczności ludzi, żyjących nad morzem lub na morzu, wytworzyły to, co dziś zwiemy społeczeństwem otwartym, gdy wielkie, azjatyckie państwa militarne pojmowały rząd, jako stały rozrost władzy wojskowej, oraz dążyły do wytworzenia społeczeństwa zdyscyplinowanego i zamkniętego w sobie.

Specjalny charakter Anglii — lub jak od czasu unii ze Szkocją zwykliśmy mówić: Wielkiej Brytanii — pochodzi stąd, że była to jedyna prowincja naprzód Imperium Rzymskiego, następnie zaś Chrześcijaństwa, całkowicie otoczona morzem, tak że z żadnej okolicy tego kraju nie było dalej do morza, niż mil siedemdziesiąt.

Ci, którzy zjeżdżają tu po raz pierwszy, przybywają do kraju zarówno europejskiego, jak pozaeuropejskiego. Jego posłannictwem było przejmować idee i instytucje kontynentu Europy, oraz przekazywać je dalej w kierunku zachodnim: Ameryce i nowym kontynentom.

Kto czyta historię Anglii, łatwo się przekona, że w czasach, gdy podróże były mozolne i niebezpieczne, gdy przeważnie odbywało się je pieszo, skazując się na długą nieobecność i trwający latami brak wiadomości — Anglicy silniej podlegali wpływowi tego co się działo we Francji i Włoszech, w Niderlandach i Niemczech, niż to ma miejsce w epoce współczesnej.

Lat temu czterysta Reformacja usiłowała odosobnić Zjednoczone Królestwo od szerszej zbiorowości, którego było ono częścią. Lecz żadne społeczeństwo nie było mniej stworzone do zamknięcia się w sobie i wyłączności, niż społeczeństwo angielskie, coraz bardziej pochłonięte handlem zamorskim i kolonizacją.

To też po Reformacji, tak jak i przed nią, cudzoziemców witano tutaj życzliwie. Żydów przyjęto z powrotem po ich wygnaniu, które trwało trzy wieki. Hugenoci francuscy zjechali tu tysiącami i po osiedleniu zrośli się z krajem do tego stopnia, że odegrali wielką rolę przy budowie nowoczesnej Wielkiej Brytanii, jako szermierze idej liberalnych, idej głoszących wolność.

Wierna tym ideom Wielka Brytania ubiegłego wieku stała się schronem wszystkich zbiegów politycznych i nie trzeba kłaść na karb przypadku tego faktu, że Karol Marks szukał źródeł do studiów w wydawnictwach angielskich i napisał swój „*Kapitał*" w Londynie. Słabą stronę liberalnego i otwartego społeczeństwa stanowi to, że z natury rzeczy musi stanowić przystań zarówno dla wszystkiego co szkodliwe i złe, jak dla tego, co dobre. Natomiast siła jego jest, że może dobierać i przyswajać.

Ostatnie lata bieżącego wieku były świadkiem niespodziewanego napływu narodowości dotąd mało znanych w Wielkiej Brytanii. Niezależnie od tego, czy Polacy pozostaną tu dłużej lub krócej, także i oni wniosą cenny wkład w życie tego kraju.

Warunki, w których rozwijały się ich dzieje sprawiły, że Polacy są narodem wysoko uświadomionym, nie tylko co do swych spraw narodowych, lecz i co do swej przynależności do łacińskiego i katolickiego Zachodu. Skazani na życie pomiędzy prawosławnymi Rosjanami, a luterańskimi Prusakami, Polacy przeszli w ciągu ostatnich czterech wieków przez próbę, w której ich religia i ich patriotyzm szły ręka w rękę, wyodrębniając ich silnie od obcej im wiary i obcych im dążeń sąsiadów.

Polacy przybywający dziś do Wielkiej Brytanii jako wygnańcy — w tej nowej fazie swej długiej historii odcięci są od swej ojczyzny, ale nie od tej zbiorowości, tego wielkiego zrzeszenia Kościoła Katolickiego, który był kolebką i wychowawcą Królestwa Polskiego. Jest to fakt, zawsze znaczący i ważny, że nowi przybysze mogą wykazać się wszystkim co wyszło ze wspólnej rzymskiej spuścizny.

Nabiera to wyjątkowej wagi dzisiaj, gdy w Wielkiej Brytanii, jak i wszędzie w Europie, wielkie przesilenie dwudziestego wieku zmusza do rachunku sumienia i rzetelnego wyboru stanowiska: za, lub przeciwko wierze katolickiej, a tego właśnie unikano i od tego wykręcano się w zachodniej Europie w czasie zaprzątnięcia łatwymi, materialnymi kłopotami, w które obfitowało dziewiętnaste stulecie.

Sprawa Wielkiej Brytanii i interesy Wielkiej Brytanii są dzisiaj, jak nie były nigdy od czasów Reformacji, ściśle zrównane z żywotnymi interesami kultury katolickiej a ta kultura jest najważniejszą z kultur przeciwstawiających się sobie i potrzebuje wierności ludzi we wszystkich krajach kontynentu europejskiego.

Ludzie, którzy umieją widzieć i zdolni są zrozumieć, są głęboko szczęśliwi i witają z radością posiłki złożone z członków narodu, który zawdzięcza swój byt historyczny przynależności do wiary katolickiej.

DOUGLAS WOODRUFF

przełożyła

TERESA JELEŃSKA

Autor niniejszego artykułu jest znakomitym dziennikarzem i publicystą angielskim. W latach 1928–1937 był członkiem redakcji „The Times". Obecnie jest wydawcą i redaktorem dwu pism: „The Tablet" i „Free Europe". Ma on w swoim dorobku kilka książek m.i. „Plato's Britannia" i „British Empire". Liczy się on w tym kraju do gorących, oddanych i konsekwentnych przyjaciół Polski; ustala stosunek do niej na podstawach etyki chrześcijańskiej.

KOLĘDA 1946

Nikt Matce Bożej liści złocistych pod nogi
nie sypał, ani śniegu srebrnego na ziemię — — —
I była noc gwiaździsta w judzkim Betleemie,
i głodny szakal szczekał przez puste rozłogi.

...Myśmy Cię zwykli byli widzieć w słomą szytej
szopce, na garści siana i w sosnowym żłobie.
W krąg stali pastuszkowie przy Twojej Osobie:
na fujarkach Ci grają albo dmą w trąbity.

Prawda: byli królowie... Lecz jechali z dala,
a ten jeden był czarny, całkiem niezwyczajny
(nie był Ci on ni bliski, ani rękodajny,
bo święty Józef na to nigdy nie pozwalał).

Dziś — wiemy, co są obcy, co tułaczka — wiemy,
co śniegowe zawały i bez śniegu zima.
A Ty wiesz, Panie Jezu, co nas z dala trzyma
od Polski i dlaczego wrócić nie możemy.

I Tyś, Panie, tułaczki próbował za młodu,
gdy musiałeś uchodzić od króla Heroda.
Niechże i nam wiodące swe promienie poda
ta gwiazda, co Cię z wschodu wiodła do zachodu.

My tylko w Twoją gwiazdę, tylko w nią wpatrzeni,
tylko ona nam świeci blaskiem niegasnącym.
Za jej smugą idziemy po świecie płonącym,
choć bezdomni i smutni — lecz niezwyciężeni.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

KIEDY WRÓCIMY...

Przestrzeń dzieląca nas od Kraju jest sto razy większa, aniżeli ilość kilometrów, sto razy trudniejsza do przebycia, niż granice, rzeki i góry. Gdy ją kiedyś przebędziemy, gdy dane nam będzie wrócić — co zastaniemy na tej ziemi wytęsknionej?

Powrócimy, sterani pielgrzymi, zmęczeni doświadczeniami, postarzeli nawet ci z nas, którzy będą jeszcze młodzi. Do dziś dnia trudno jest uwierzyć, że Warszawa jest zburzona. Trudno uwierzyć, że gdy staniemy na jej bruku ujrzymy mury-upiory, za którymi nie ma domów, mieszkań, między którymi nie ma znanych ulic. Trzeba będzie podrzeć dawne wspomnienia, trzeba będzie pogodzić się z ranami na ciele Ojczyzny.

Może trzeba będzie pogodzić się z czymś gorszym. Między nami a tymi, których zastaniemy naraśnie warstwa obcości, naraśnie niezrozumienie naturalne, wynikłe z odmiennych losów i nieporozumienia sztuczne, wytworzone przez propagandę wrogów. Rzucimy się sobie w objęcia, my stęsknieni i oni, którzy nas czekali i kto wie, czy w następnej chwili radość spotkania nie będzie porwana na strzępy przez zarzuty i wyrzuty, przez nieświadomość losów i intencyj, przez brak wiary w dobrą wolę naszą, lub ich.

Trzeba będzie pogodzić się z faktem, że nim wrośniemy na nowo w ciało Ojczyzny miną bolesne dni, może miesiące, może lata.

I trzeba będzie pogodzić się z faktem, że ci, których zastaniemy nie będą tacy sami, jak ci, których opuściliśmy. Żaden naród nie może przejść bezkarnie przez piekło dwu okupacyj. Zniszczona będzie praworządność młodego pokolenia, które wyrosło w smutnej mądrości spekulacji, przekupywania, obchodzenia nakazów i przepisów. Zastaniemy nowy gatunek sprytu. Nowy gatunek przedsiębiorczości. Nową pogardę władzy, urzędu, prawa, sprawiedliwości. Nową niewiarę w przyrzeczenia, w słowa. Zastaniemy młodzież niedouczoną, pozbawioną obcowania z książkami, być może wykoszlawioną w swych pojęciach o polskości, o wolności, o kulturze, o sztuce. Chwiejną w swych pojęciach moralnych. Społeczeństwo poddane gwałtowi fizycznemu, deprawowane przez kłamstwa obydwu okupantów, będzie wzruszone w podstawach, będzie anormalne. Zrekompensuje swój wieloletni strach i będzie zapewne agresywne. I równocześnie słabe wewnętrznie. Pierwiastki anarchiczne mogą górować.

Trzeba patrzeć na rzeczywistość, jaka jest i jaka będzie. Lecz bilans wojny jest — mimo potworne zniszczenia — nie tylko ujemny. Zastaniemy nie tylko rany i kalectwa.

Z wojny i okupacji wyszło społeczeństwo stwardniałe w swym poczuciu polskości. Charakterystyczną cechą tego poczucia jest to, że nie jest ono wynikiem wychowania społecznego. Społeczeństwo polskie było właściwie zawsze słabo, źle wychowane. Poczucie polskości jest odruchowym stanem uczuciowym, jest namiętnością, jest pasją. Inne społeczeństwa, by osiągnąć ten stan uczuciowego zespolenia ludzi z ideą narodu, muszą prowadzić swych obywateli od dziecka, muszą stosować odpowiednią politykę wychowawczą. Nas wychował ku polskości nadmiar cierpień. Przeskoczyliśmy szczeble rozumowe, przeskoczyliśmy cały rozsądek, całą nawet świadomość. Polskość stała się szaleństwem milionów. Stała się równocześnie twardą opoką pod wszystkimi szaleństwami.

Po raz pierwszy w dziejach Polski uczuciowe związanie z ideą narodu i wolności objęło wszystkich, wszystkie klasy społeczne. Tragizm, który ciążył na wszystkich powstaniach i rewolucjach polskich, który zaważył jeszcze na formowaniu się państwa polskiego w 1918 r. i na okresie niepodległości — tragizm obojętności chłopskiej — teraz już nie istnieje.

Obraz jest całkiem nowy: chłop dorósł do świadomości narodowej. Teraz patrzymy niekiedy ze strachem na to obudzenia się pasji narodowej i pasji wolności, drżymy, by nie stały się one przyczyną nowych nieszczęść, nowych ofiar. Chłopi płacą i jeszcze płacić będą krwią za to, że wcielili się w naród. To jest ich krwawy chrzest. Warstwa robotnicza zespoliła swoje hasła społeczne z ideą wolności narodowej już wcześniej, w czasie wojny i okupacji przypieczętowała bohatersko to zespolenie, wysunęła się na czoło walki.

Już nigdy więcej nie będzie tak, że walka o wolność jest sprawą szlachecką, sprawą górnych warstw. Polska straciła w wojnie i okupacji kilka milionów ludzi; polskość zyskała ich siedemnaście. Te nowe warstwy, które wzięły w swoje ręce losy Kraju przynoszą ze sobą swoje błędy, swoje niedoświadczenia. Ale rozszerzają zakres polskości, wzbogacają i przeinaczają ją. Tworzy się nowe społeczeństwo polskie. Stare upiory polskich dziejów przestały istnieć. Nim powstaną nowe upiory — jesteśmy młodzi. Po tysiącleciu istnienia, po najkrwawszej rzezi naród polski stoi w obliczu przyszłości młody, jak nigdy dotąd.

Młody — i równocześnie doświadczony. Jakżeż śmiesznie wygląda dziś zarzut przysłowiowej nieudolności organizacyjnej. Jedyna na świecie Polska umiała stworzyć rząd podziemny, parlament, podziemne sądy, podziemne szkolnictwo. Jedyna wśród państw podbitych wykazała niezachwianą karność w służbie idei wolności i niepodległości. Rozsypani po świecie Polacy wykazali niesłychaną żywotność i prężność organizacyjną. Odeszliśmy daleko od dawnego rozwichrzenia.

Okupacja sowiecka jest groźniejsza od okupacji niemieckiej, szczerbi zawzięcie spoistość narodu, przegryza łączące wszystkich więzy. Ale kiedy wrócimy do Kraju, kiedy osaczy nas nieuchronna anarchia, musimy pamiętać: ta anarchia będzie wynikiem deprawujących warunków i rozprężenia, nie będzie odpowiadała naturze i duchowi narodu. Dziś już o tym wiemy, już mamy tę pewność.

Dlatego będą istniały szanse pokonania zła. Pod jednym wszakże warunkiem: że ci, którym powierzona będzie rola kierownicza będą istotnie ukwalifikowani w charakterze i rozumie, że nie będą niedoukami, przypadkowymi odpryskami „kluczów", lub co gorsza wartościami symbolicznymi. Polacy zawsze mają słabość do symbolów, nie umieją odróżnić konkretnej praktycznej zastosowalności ludzi od ich symbolicznej reprezentatywności. Jeśli ci, którzy sprawować będą władzę w przyszłej Polsce będą ludźmi mądrego czynu, jeśli wyrażać będą naprawdę wolność i sprawiedliwość, jeśli spełnią tę tęsknotę narodu — Polska stanie za nimi. Pokona rozprężenie.

Zdaje mi się, że jeszcze jedną zastaniemy zmianę: zmianę w rozumieniu wielkości Polski. Przykro wspominać dawne błędy. Ale jednak trzeba sobie przypomnieć, że idea wielkości Polski przybierała w niedawnej przeszłości formy niezrównoważone, zbyt często wyrażała się tylko nienawiścią do innych narodów. Była nierealna, zaczadzona mocarstwowością, wyżywała się w dziecinnej agresywności, której zresztą nie towarzyszył żaden konkretny plan agresywny.

Dziś świadomość polska dorosła do ogarnięcia swej roli w świecie, swego stanowiska w kulturze, swego stosunku do innych narodów. Dziś rozumiemy i my i oni w Kraju, że Polska może być wielka tylko w związku z innymi zagrożonymi narodami, tylko jako element wiążący sąsiednie państwa, tylko będąc wolna sama i zabezpieczając wolność innych. W cierpieniach naród dojrzał. Dorósł do współpracy z tymi, co cierpieli i cierpią dziś jak my. I może dorósł też do koncepcji wielkości, która jest dokonaniem pracy, twórczego wysiłku. Może ujrzał swą mocarstwowość w tym, by stać się Atenami w nowej Helladzie.

Gdy wrócimy do Kraju trzeba będzie zdobyć się na mądrość przejrzenia poprzez opary niedawnych nieszczęść, poprzez strzaskane przęsła i rozwalone mury. Trzeba będzie umieć spojrzeć na to, co narosło w charakterze narodu. Trzeba będzie umieć dojrzeć jego duszę — dziś po zniszczeniach i krzywdach większą, bogatszą, mocniejszą, aniżeli kiedykolwiek.

STEFANIA ZAHORSKA

WIERSZE

ODPŁATA

Tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć razy
rodziłeś się Miłością na sianie.

Tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć razy
pokój ziemi próbowałeś dać, Panie.

Tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć razy
chór Aniołów dobrą głosił Nowinę,

tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć razy
Matki-Panny raczyłeś być Synem...

O coś wskórał? Coś uprosił u świata?!
To — że bratu brat dziś gorszy od kata,

to, że w zbrodni zbrodnia co dnia się pleni,
że przyjaciół zdradzają spodleni,

że bezbronnym oprawcami tu mocni,
że zło działa — i coraz owocniej —

że myśl ludzka śmierci stała się kuźnią,
że Ci ludzie złorzeczą i bluźnią,

że dzień każdy gwałci Twoje nakazy
tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć razy!

Ot — jak ludzkość odpłaciła się — Tobie —
coś Miłością urodził się w żłobie...

BEATA OBERTYŃSKA

NASZA KOLĘDA

Nie ucichnie tupot naszych nóg,
Jezu malusieńki!
Choć już tyle poza nami dróg,
Choć na drodze znowu stanął wróg,
Jezu malusieńki!

Nie ucichnie nasz żołnierski śpiew,
Jezu malusieńki!
Choć za nami i przed nami krew,
Choć nam dusze przeżarł straszny gniew,
Jezu malusieńki!

Od zwątpienia Ty nas zawsze chroń,
Jezu malusieńki!
Pobłogosław naszą świętą broń,
Tchnij nadludzką siłę w naszą dłoń,
Jezu malusieńki!

Ty sierotom polskim otrzesz łzy,
Jezu malusieńki!
Przeprowadzisz przez ten padół zły
I Ojczyznę nam wyłonisz z mgły,
Jezu malusieńki!

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

CZY JUŻ ŁATA ADWENTU?

Gdy po dniach Adwentu zbliża się Boże Narodzenie, zazwyczaj — i to przeważnie wbrew otaczającej nas rzeczywistości — odczuwamy przypływ jakiejś ufności i dziecinnej niemal wiary, że to święto przyniesie zmianę na lepsze, że spełnią się nasze życzenia, jakie wymieniamy przy dzieleniu się opłatkiem. Jednocześnie dokonujemy jak gdyby przeglądu naszych spraw i wyników naszej działalności w roku minionym, łącząc nasze nadzieje z nadejściem nowego roku.

Niestety, po roku stwierdzamy ze smutkiem, że gmach naszych nadziei był tylko domkiem z kart, który rzeczywistość obaliła. To też próżne byłoby dążenie do uchylania zasłony zakrywającej przyszłość. Ale warto rzucić okiem dokoła — przystanąwszy, jak przystaje wędrowiec, który co jakiś czas ogląda się, jak gdyby przez ocenę już dokonanych wysiłków chciał nabrać sił do trudów dalszych.

ŚWIAT DOKOŁA NAS

Świat dokoła nas, przynajmniej tak, jak my go widzimy, nie wydaje się skąpany w promieniach słońca wolności i szczęścia, pomimo tego, co tacy czy inni mężowie stanu głosili i czasem jeszcze głoszą. Rok ubiegły był świadkiem wielu konferencji, z których każda niemal była określana jako epokowa, jako kamień węgielny owej przyszłej powszechnej szczęśliwości, jako zwrot w dziejach narodów, i td., i td. Bez znaczenia było by omawianie tu konkretnych osiągnięć poszczególnych konferencji — jeżeli coś konkretnego w ogóle osiągnięto — lub też wyliczanie tych konferencji i opisywanie ich przebiegu. Zrobią to skrzętni publicyści i surowi dziejopisarze.

Dla nas — rok minął, a żadna z konferencji nie sprawiła tego, czego najbardziej pragniemy: nie uczyniła naszego kraju wolnym i nie dała naszemu narodowi tego, co się mu należy i o co walczył nie szczędząc rzeczywiście ani krwi ani mienia. Ale konferencje te nie zrobiły też nic i dla reszty świata, i dla innych narodów. Bo to, co formalnie zrobiły — to są dosłownie świstki papieru, to są dosłownie czeki bez pokrycia.

I nie może być inaczej, dopóki jeden z kontrahentów nie uznaje i, co jest jeszcze ważniejsze, nie w y z n a j e zasady *pacta sunt servanda* — zasady, że umów się dotrzymuje. Aczkolwiek jeden z wielkich mężów stanu powiedział — prawdopodobnie w ferworze krasomówstwa — właśnie o tym kontrahencie, że „trudno chyba znaleźć inny kraj, któryby tak wiernie dotrzymywał wszystkich umów", rzeczywistość daje świadectwo czegoś wręcz przeciwnego.

To też praca budowniczych nowego świata dokonana w ubiegłym roku wydaje się być daremna. Daremna, ponieważ budowali bez fundamentów i dlatego mury zaledwie wzniesione od razu się zarysowywały. Piasek fałszu i frazesów nie jest bowiem tworzywem nadającym się na podwaliny nowego porządku świata. Jedynym tworzywem mogą być zasady, i to „zasady" nie stworzone na użytek chwili i interesu, ale zasady trwające od wieków i ukute w ciągu wieków, jak chociażby zasada przytoczona, z Rzymu wzięta w spadku.

Bez znaczenia byłoby też roztrząsanie poszczególnych wydarzeń politycznych na arenie świata w ubiegłym roku lub budowanie na skutkach tych wydarzeń jakichkolwiek obliczeń czy horoskopów na przyszłość. Raczej, aby się nie gubić w szczegółach i nie zatracić właściwego sądu o całości byłoby wskazane spojrzenie na świat dokoła nas z pewnej odległości, co pozwoli, być może, na uchwycenie ogólnych konturów i barw obrazu.

Przy spojrzeniu na świat dokoła nas z takiej perspektywy rzuca się w oczy nieodparcie, jako barwa górująca obrazu — a c h r y s t i a n i z m świata. Takie ogólne pojęcie ogarnia już wszelkie inne zjawiska, jak np., niedotrzymywanie umów, niepiętnowanie zła, łamanie zasad sprawiedliwości, deptanie wolności innych narodów, obłuda w stosunkach międzynarodowych ze wszystkimi jej skutkami w dziedzinie moralnej, stosowanie różnej miary do oceny zła i zbrodni w zależności od tego, kto jest winowajcą, nieczułość na cierpienia milionów ludzi, wynikająca z obawy przed koniecznością czynnego zadokumentowania własnego współczucia i chęci pomocy, i td., i td.

Zagubienie ideałów chrześcijańskich, płytkość wiary i religii w społeczeństwach, ich zmaterializowanie, brak odwagi poparcia czynem swoich przekonań i zasad, tchórzliwa bierność chrześcijańskiego świata wobec bezbożnictwa i hołdowanie tołstojowskiej nauce niesprzeciwiania się złu — uzasadniane gwoli wstydliwego przykrycia własnego tchórzostwa argumentami realizmu i trzeźwości politycznej — to są wszytko skutki a c h r y s t i a n i z m u oraz przyczyny błądzenia polityki światowej po krętych i błotnistych ścieżynach, a unikania dróg prostych i suchych.

Tak widzimy obraz świata dokoła nas.

Na tym tle społeczeństwa i narody, jak gdyby zdezorientowane i zahypnotyzowane przez swoich przywódców, zatraciły już pozornie wszelkie miary moralne oraz zdolność odróżniania dobra od zła. Z braku podniety ze strony przywódców, odwołującej się do lepszych stron duszy ludzkiej, do poczucia prawa i sprawiedliwości, do sfery idealnej — bo przecie nie widać przywódców wielkiej miary jeno jednostki standartowo mieszczańskie o wąsko-lokalnych widnokręgach — społeczeństwa nie widzą i nie patrzą dalej, niż to zakreślają potrzeby czysto materialne. Zasklepiają się w bagienku codziennej szarpaniny z licznymi, chociaż mało istotnymi przykrościami i trudnościami w sferze zaspokojenia potrzeb ciała, od czasu do czasu jedynie spoglądając z niepokojem na gromadzące się chmury i starając się nieśmiało znaleźć ścieżkę prawdy w gąszczu zakłamania własnego i własnych rządów.

Wszyscy czują, mniejszość świadomie a większość nieświadomie, że świat wchodzi w jakiś ślepy zaułek, że nieuchronnie zbliża się ku jakiejś bliżej nierozeznanej katastrofie, popychany ku niej ze złośliwym rechotem przez jakieś ciemne choć otwarcie działające siły. Wszyscy to czują, ale — jak to bywa we śnie — nikt nie ma mocy, aby się zdobyć na głośny okrzyk ostrzeżenia.

W tym zjawisku jakiejś masowej śpiączki moralnej, w tym bezwładzie dusz chrześcijańskich jest coś niepokojącego, jak niepokojąca jest cisza i bezwład śmierci. Albo też — Bogu to tylko wiadomo — jest to cisza przed burzą, jest to bezwład natury przed zbliżającą się nawałnicą i grzmotem piorunów.

Nam, katolikom, trudno się pogodzić i uwierzyć w podeptanie dobra przez zło, w powalenie kościoła przez bezbożnictwo, bo wszak w Składzie Apostolskim wyznajemy wiarę w Syna Bożego, „k t ó r e g o k r ó l e s t w u n i e b ę d z i e k o ń c a". To też, jak od lat dziecinnych co roku na Boże Narodzenie odczuwaliśmy jakiś przypływ otuchy i jasnej ufności, tak i w tym roku — ciężkim dla nas i mrocznym — niech pokrzepi nas wiara, że gdy B ó g s i ę r o d z i, z ł e m o c e t r u c h l e j ą.

LUDZIE DOKOŁA NAS

W bliższym polu widzenia, gdy się patrzy na ludzi, wśród których żyjemy, obraz nie wydaje się o wiele jaśniejszy. I znów, pomijając szczegóły, starajmy się zwrócić uwagę na zjawiska zasadnicze, kształtujące opinie i kierujące postępowaniem naszego otoczenia.

Tu nie sposób nie zauważyć dużego zmaterializowania, które wysunęło na ołtarze funta szterliga, a zepchnęło z nich wartości moralne wyższego rzędu. Jako bezpośredni skutek tego objawia się coraz ostrzejsza chęć zdobycia pieniądza w celu życia i użycia — i to bez oglądania się na to, w jakim stopniu przeciwstawia się to interesom innych grup społecznych lub dobru państwa.

Wtórny skutek zmaterializowania — to powszechna chęć uniknięcia za wszelką cenę współodpowiedzialności za sprawy sąsiedzkie i europejskie w myśl strusiej zasady „niech na całym świecie wojna, byle nasza wieś spokojna".

Stąd płynie brak miar dla uszeregowania w porządku ważności różnych zagadnień wewnętrznych i zewnętrznych. Na tle przeciwstawności interesów poszczególnych grup społecznych i narodu wzmaga się nieunikniony po każdej wojnie chaos gospodarczy i trudności codziennego życia, co zmaterializowane społeczeństwo odczuwa, oczywiście, bardzo ostro.

W takich okolicznościach przeprowadzanie reform, wynikających z programu partyjnego a nie z nakazu stosunków gospodarczych, zaostrza konflikty społeczne oraz usypia poczucie zbiorowej odpowiedzialności za dobro narodu, przerzucając ją na państwo i uosabiający państwo rząd. W wyniku wzrasta władza rządu i wszechmocność i wszechobecność jego ramienia — biurokracji, natomiast kurczą się swobody obywatelskie oraz pole inicjatywy prywatnej, co znów dotkliwie odbija się na społeczeństwie wychowanym w kulcie i pożądaniu pieniądza.

Na tym tle staje się bardziej zrozumiały stosunek tego otoczenia do nas i do naszych spraw. Te ostatnie z poziomu leżącego w dziedzinie etycznej i prawnej zostały ściągnięte na poziom czysto materialny. O naszych sprawach nie myśli się kategoriami zobowiązań prawnych i moralnych zaciągniętych ongiś w dobrej wierze a niedotrzymanych, ale jedynie kategoriami ciężarów finansowych, jakie spadają na podatników w tym kraju z tytułu konieczności — nie przez nas zresztą zawinionej — jakiego takiego rozwiązania sprawy naszego osiedlenia i zatrudnienia, która bez tego mogłaby się stać klęską gospodarczą.

Ludzie nie myślą o istocie sprawy, nie chcą pamiętać o przyczynach, ale jedynie skarżą się na skutki. To zapewne tłumaczy ten gorący aplauz dla przemówień niektórych delegatów na kongresie w Brighton zdecydowanie nam wrogich. Mówcy ci, dla innych zresztą celów, nieświadomie wypowiedzieli to, co przypuszczalnie większość zgromadzonych miała na sercu, ale po prostu wstydziłaby się wypowiedzieć publicznie.

Na marginesie warto zanotować charakterystyczny szczegół: mówców najbardziej oburzało to, że Polacy dumnie chodzą po ulicach, że są schludnie ubrani, że mają więcej teczek niż cały zjazd w Brighton, że mają tyle odznaczeń, określonych zresztą jako...„hitlerowskie". Z ujęcia zarzutów wobec nas bluzgało jakąś zoologiczną nienawiścią, jakąś pierwotną zawiścią oraz czymś azjatyckim, czymś co by rade było widzieć nas w poniżeniu i w łachmanach, przemykających się bojaźliwie pod ścianami lub żebrzących o łaskawy grosz.

Po tyloletniej tułaczce wiemy już, że ksenofobia czyli niechęć do obcych istnieje wśród najbardziej cywilizowanych społeczeństw. Być może, iż w słowach mówców w Brighton wyraziło się też znane zjawisko, że nie lubimy oglądać i spotykać tych bliźnich, którym wyrządziliśmy jakąś krzywdę.

Nie dziwmy się, że tyle jest objawów współczucia dla biednych, głodnych Niemców, dla ich cierpień i poniewierki, chociaż nikt nie pomyśli o cierpieniach i poniewierce naszych obywateli w Niemczech, którym i UNRRA, i władze okupacyjne i sami Niemcy nie szczędzą ani upokorzeń ani ... drutów kolczastych. Nawet dostojnicy kościoła tutejszego apelują o pomoc dla Niemców, ale nie pamiętają ani o milionach naszych kalek i sierot — ofiar właśnie tych Niemców, ani o setkach tysięcy Polaków w rosyjskich więzieniach i obozach. O niedoli Niemców obraduje parlament. Co prawda — niedola Niemców kosztuje tutejszego podatnika 80 milionów funtów rocznie. Za niedolę Polaków płaci na razie kto inny.

To jest też przejaw materializmu, który musimy zanotować, aby obraz był pełny.

WE WŁASNYM ŚRODOWISKU

Użycie jasnych barw dla odmalowania naszego środowiska nie dałoby wiernego obrazu naszej kilkudziesięciotysięcznej grupy na tej wyspie. Jest to w dużym stopniu zrozumiałe, jeżeli się zważy siłę ciśnienia niesprzyjających warunków na jednostkę powierzchni naszych uczuć, naszych myśli, naszych stanów duchowych i naszych wad narodowych i naszych błędów.

Przede wszystkim rzuca się w oczy wyraźny brak kierownictwa w naszym zbiorowisku. Nie słyszymy głosu żadnych przywódców, nie widzimy ich. Inicjatywy poszczególnych grup i grupek, często samozwańcze, nie są w stanie zapełnić istniejącej luki, nie mają zresztą większego autorytetu. Przy braku urodzonych przywódców, którzy by się wybili na czoło w wyniku naturalnego współzawodnictwa społecznego — nie potrafiliśmy stworzyć dotychczas zwierzchniego ciała zbiorowego, opartego na powszechnym uznaniu i wyłonionego zgodnie z zasadami demokratycznymi. Stąd przedstawiamy raczej luźną gromadę, niż zwartą grupę, której interesy byłyby reprezentowane przez wybrane jednostki w zgodzie z powszechną wolą ujętą w program.

Zbiorowisko nasze nie ma poczucia posiadania wyraźnego programu. To też dają się zauważyć tylko inicjatywy jednostkowe. Wskutek braku koordynacji ze strony nieistniejącego nadrzędnego czynnika inicjatywom tym brak impetu i siły przebojowej.

Przy takim stanie rzeczy, a zwłaszcza jeżeli uwzględnimy nasze wady, jak wybujały indywidualizm lub sobiepaństwo oraz pewne nawarstwienia zwyczajowe z okresu niepodległego międzywojnia, powstają grupy, grupki, kliki i t.zw. w gwarze „sitwy", które z godną lepszej sprawy energią starają się uchwycić ster spraw całej emigracji. Wskutek braku mandatu i uznania dla tych grupek ze strony zbiorowości rodzą się jakieś q u a s i elitaryzmy, oparte raczej na stanie faktycznym, niż na oczywistej zasłudze.

Wszystko to sprzyja kuluarowym rozgrywkom, plotkom i, niestety, powiększa już istniejące podziały, jak np., „Londyn", „2. Korpus", „Armia Krajowa", „Wrześniowcy", „Szkocja" i nie wiadomo co jeszcze. Chociaż są to zjawiska niegłębokie i nie wpływające na trzon naszych poglądów na sprawy zasadnicze, nie możemy sobie pozwalać w naszym położeniu na luksus nawet i takiego podziału. Dość już tego, że podział ten przeciwdziała skupieniu wysiłków organizacyjnych i powoduje marnotrawienie naszych sił i zasobów, tak szczupłych zresztą, na wybijanie przez jedną grupkę tych drzwi, które już zostały otwarte przez inną.

Bezpośrednim skutkiem braku kierownictwa i braku programu jest dezorientacja masy naszego uchodźstwa co do przyszłości oraz co do takiego czy innego planowania tej przyszłości.

Tu należało by wspomnieć o dość powszechnej skłonności brania życzeń za rzeczywistość. Ta skłonność niebezpiecznie osłabia nasze przysposobianie się do życia samodzielnego na wygnaniu i paraliżuje próby wszelkiej realnej kalkulacji na emigracyjną przyszłość. Owe dwa lata na jakie zostało ustalone trwanie Korpusu Przysposobienia stwarza u nas, przy naszym własnym współdziałaniu, złudne poczucie posiadania dużego marginesu czasu i dodatkowo hamuje planowanie przyszłości w oparciu o konkretne warunki dnia dzisiejszego.

Ogólny wniosek z przyjrzenia się głównym rysom naszego środowiska jest więc też mało pocieszający: rozsypka, brak programu, kultywowanie złudzeń. Całość — to jeszcze mgławica. W tej mgławicy zaledwie tu i ówdzie zarysowują się, jak cienkie niteczki, odruchy zdrowej inicjatywy i realnego myślenia, które niedługo, być może, okrzepną i wytkną drogę dla biernej masy.

JAŚNIEJSZE TONY OBRAZU

Takie są główne barwy obrazu świata dokoła nas, naszego otoczenia oraz naszego własnego środowiska. Przyznajmy to — barwy raczej ciemne. Ale, patrząc z właściwego oddalenia na całość, nie możemy nie zauważyć jasnych smug rozsianych tu i tam na ciemnym tle płótna.

Świat zachodni widzi coraz wyraźniej, chociaż jeszcze nie dość wyraźnie, że istnieje zdecydowana rozbieżność poglądów i interesów między nim a moskiewskim Wschodem. Że nie sposób jest uchylić się od rozstrzygnięć zasadniczych, sięgających do samych podstaw bytu cywilizowanej ludzkości.

Coraz bardziej też krystalizuje się to przekonanie wśród naszego otoczenia. Oczywiście, daleko jeszcze do zrozumienia tego w takiej mierze, którąby pociągnęła za sobą decyzję czynu. To wymaga bardzo długiego czasu, jeżeli przypadek — czego nie sposób przewidzieć a co w historii zawsze miało wpływ na wydarzenia — nie przyśpieszy całego procesu.

Należy przypuszczać, że po jakimś czasie znajdziemy więcej zrozumienia wśród naszego dalszego otoczenia. Dla nas bowiem, już chyba od Jałty staje się jasne, iż albo cały świat, a w każdym razie Europa, będzie wtłoczona za druty wielkiego obozu koncentracyjnego na wzór Rosji a kulturę chrześcijańską zadepcze mongolsko-słowiański mieszaniec z Eurazji — albo światło odrodzonego w cierpieniach nowej walki Zachodu zaświeci w najdalszych zakątkach nad Peczorą, Jenisiejem i Leną. Albo jeden świat, albo drugi musi się zawalić—dla obu nie ma miejsca na kuli ziemskiej. Niewiadomy jest tylko termin tej rozgrywki.

Jeżeli wiara nasza nie jest tylko czymś mistycznym wyrosłym na podłożu zawodów i tęsknot oraz cierpień naszego narodu, ale jeżeli jest logicznym wnioskiem z obserwacji wydarzeń dokoła nas — to wówczas zaiste królestwu Syna Bożego nie będzie końca.

Nie sięgajmy do patosu słów, aby rozdmuchać w sobie tę iskrę wiary, przenieśmy się tylko w noc wigilijną do domów naszych najbliższych w Kraju, gdzie, pomimo żelaznego uścisku złych mocy, zabrzmią przecież słowa naszej kolendy: B ó g s i ę r o d z i, m o c t r u c h l e j e...

W. A. KONART



NARODZENIE CHRYSTUSA

Krzepnie ogień w pożarach, blask ciemnieje w jasności
i anielskich się mnoży szum tych skrzydeł, tych śpiewań —
Jakim drogom w daleność Bóg się każe wyprościć,
jakim łąkom zielenić, jakim sadom dojrzewać?

Kwiaty dzwonią w tych pieśniach, pieśni kwitną z tych kwiatów,
w głuche wieki-prawieki biją dzwony wszech godzin —
Jakie drzwi to pękają nowych wierzeń i światów,
w jakich słońcach nam rosnąć, w jakich gwiazdach nam brodzić?

Niebo schyla się k ziemi, ziem się wspina k niebiosom
i kolędy migocą srebrnostrunne w gwiazd słońcach —
Jakie króle nie-króle w trony złote się wzniosą,
jakie mędrce nie-mędrce Bóg w przepaście postrąca?

Rzeki w morzach początki strumieniste swe biorą,
kwitnie srebrność ptaszęca pod dzban malin z kaliny —

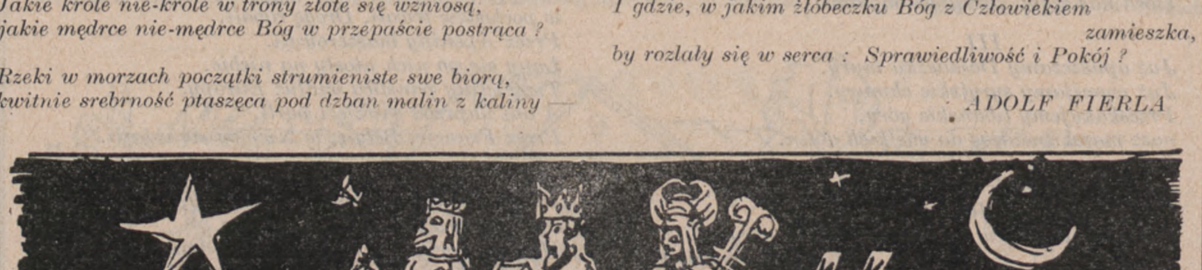
Czy przemówi Bóg gniewem, co uderzy jak piorun,
czy zaśpiewa w Nim dobroć, jak w ligawce z wierzbiny?

Cudy mowę człowieczą dały trawom i trzodom
i przymila się jasność gwiazd pasterzom i niwom —
Które ścieżki w niebiosa, które w piekła powiodą,
i jakimi szlakami krążyć będzie szczęśliwość?

Przyszły wieki się kruszyć, idą miejsca w proch klękać,
w strzępy rwie się niezmierność starych prawd i orzeczeń —
W jakich świtach zagasać będzie ludzka zła męka
i gdzie rodzić się będzie szczęście ludzkie, człowiecze?

I jakimi drogami, wśród skał jakich i nie-skał
piąć się trzeba po radość, jak po gwiazdę z obłoków?
I gdzie, w jakim żłóbeczku Bóg z Człowiekiem zamieszka,
by rozlały się w serca: Sprawiedliwość i Pokój?

ADOLF FIERLA



ŻOŁNIERZ WOLNOŚCI

Żyje wśród żołnierzy polskich pamięć Józefa Sułkowskiego, młodego oficera polskiego o lwiej odwadze i wielkich talentach, który był adiutantem Napoleona Bonapartego w czasie kampanii włoskich 1796–7 roku i w wyprawie egipskiej 1798 roku, zwrócił na siebie uwagę współczesnych, rokował wielkie na przyszłość nadzieje, zginął przedwcześnie na patrolu w czasie buntu arabskiego w Kairze, rozsiekany na strzępy. Wspominając z szacunkiem jego nieustraszoną odwagę, wiedzę, zdolności, Napoleon wyraził się kiedyś, że byłby w nim miał nieocenioną pomoc ten, ktoby przedsięwziął przywrócenie Polsce niepodległego bytu. W poczuciu współczesnych Polaków naród poniósł przez jego zgon stratę niepowetowaną.

Krótkie a pełne wielkich przygód życie Sułkowskiego — miał lat dwadziecia osiem, gdy go dokonał — od dawna przykuwało wyobraźnię swoich i obcych. Nie darmo poświęcił mu Żeromski kilka cudownych kart w „Popiołach", a później stworzył dramat „Sułkowski".

Pochodzenie Sułkowskiego było tajemnicze. Chował się w Rydzynie u księcia Augusta Sułkowskiego, jednego z najpotężniejszych w Polsce magnatów, oficjalnie uznawany za syna ubogiego krewniaka. Naprawdę był naturalnym synowcem księcia Augusta, naturalnym prawnukiem króla Augusta II. Wychowywał go stryj jako królewiątko, obwoził po dworach monarszych. Mały „Don Pepe" był prezentowany cesarzowi Józefowi II, pruskiemu Fryderykowi Wielkiemu, carycy Katarzynie II, która upodobała sobie ślicznego, trzynastoletniego chłopca i z miejsca obdarzyła rangą „junkra" w kawalergardach; dobrze, że otrzymał za jednym zamachem urlop trzechletni, z którego nie wrócił. Uczono go starannie, przejawiał błyski geniuszu. Mówił wielu językami, miał pasję dla wojskowego rzemiosła.

Śmierć stryja zmieniła wiele. Szesnastoletni Sułkowski nagle stał się istotnie żołnierzem, ubogim oficerem piechoty w pułku ordynacji Rydzyńskiej, sławnym później jako pułk Działyńskich. Zawodowi swemu poświęcił się z pasją.

Wchłaniał zarazem wszystko, co było dorobkiem myślowym współczesnej mu epoki, a w szczególności idące z Francji hasła wolności, równości i ogólno-ludzkiego braterstwa. Z fanatyzmem sprawę wolności umiłował, a wyzwolenie milionowych mas ludu polskiego z poddańczo-pańszczyźnianej niewoli stało się dlań nie tylko warunkiem ocalenia niepodległości Rzeczypospolitej, ale sprawą, za którą gotów był walczyć całą namiętną duszą. Reformy Sejmu Czteroletniego zdały mu się połowiczne; z lekceważeniem i niechęcią przyjął Konstytucję 3 maja.

Ale gdy na jej obalenie wtargnęły do Polski wojska rosyjskie, w krótkiej i nieszczęśliwej kampanii litewskiej 1792 roku bił się do upadłego, był dwukrotnie ranny, dostał krzyż Virtuti Militari. Kiedy zaś po przegranej wojnie Rosja narzuciła Polsce rząd swych służalców, Sułkowski opuścił kraj.

Poszedł do Francji, gdzie właśnie rewolucja obaliła tron królewski, a młoda republika głosiła „wojnę królom, pokój chatom", wojnę za wolność ludów i niebawem znalazła się w wojnie ze wszystkimi niemal państwami Europy, a wśród nich z trzema mocarstwami, które rozdarły Polskę. Jedyną nadzieję dla Polski widział Sułkowski w zwycięstwie Francji, którą jak własną ojczyznę miłował. Szukał okazji, by walczyć w jej szeregach. „By zwolnić własny kraj od jarzma obcego — pisał — trzeba dojść do dowodzenia armią; by dowodzić nią z powodzeniem, trzeba mieć za sobą blask kilku czynów, wzbudzających zaufanie".

Nie od razu dostał się do wojska francuskiego, nie przyjmowano cudzoziemców. Parokrotnie podejmował się misji na Wschód, ryzykownych i trudnych. W czasie powstania Kościuszkowskiego przedostał się z Konstantynopola do Polski, w chwili końcowej katastrofy. Wreszcie w roku 1796 uzyskał przydział w stopniu kapitana do dowództwa armii Włoch, która właśnie pod rozkazami generała Bonapartego rozpoczynała swą ofensywę. W końcu czerwca dotarł do kwatery głównej Bonapartego w pobliżu oblęganej przez niego Mantui. Zaczynała się jego znajomość z wielkim wodzem, młodzieńczym jak on, a niebawem służba przy jego boku, wymagająca niezmordowanych, nadludzkich często wysiłków, rzutkości, inicjatywy, przytomności, inteligencji, poświęcenia.

O służbie Sułkowskiego we Włoszech wiedzieliśmy stosunkowo niewiele. Były liczne jego listy i relacje z innych okresów: doskonałe sprawozdanie o kampanii litewskiej, opisy podróży, parę listów z końcowego okresu kampanii włoskiej, trochę pism z wyprawy egipskiej. Brakowało relacyj Sułkowskiego z najbardziej dramatycznego okresu kampanii włoskiej, z czasu, gdy Bonaparte, po swych świetnych zwycięstwach początkowych w Alpach Liguryjskich i opanowaniu Lombardii błyskawicznym manewrem zawładnął większą częścią Włoch Północnych, obległ Mantuę, ostatnią fortecę w rękach Austriaków, ale tutaj czterokrotnie stawić musiał czoła ofensywom przeważających sił austriackich, idących fortecy z pomocą i czterokrotnie z największym wysiłkiem, cudownym jakby wzlotem geniuszu, wyszedł zwycięsko. Nazwy utarte tych czterech operacyj od bitew, w których się rozstrzygały, to Castiglione, Bassano, Arcole, Rivoli.

Świeżo odnaleziono listy Sułkowskiego z tego okresu kampanii, tak ciekawe, że historyk francuski, M. Reinhard, poświęcił im dużą książkę. Listy te pochodzą z nie bylejakiego źródła, z papierów po Łazarzu Carnot, który w latach 1793–7 kierował obroną narodową Francji i zachował w historii imię „organizatora zwycięstwa". Listy Sułkowskiego wtedy już przeznaczał do druku. Dzięki nim widzimy Sułkowskiego w akcji, na polach bitew, przeżywającego gwałtowne kryzysy tej kampanii, a wraz z nim „armię Włoch" w chwilach groźnych przesileń i zwycięstwa.

Zanim przyszło pierwsze przesilenie Sułkowski był przydzielony do dowódcy wojsk oblegających Mantuę, którą spodziewano się rychło zdobyć, przygotowania postępowały. Armia francuska była upojona triumfami, pełna wiary w swą niezwyciężoność. Żołnierze nie tylko fanatycznie przejęci byli sprawą wolności, za którą walczą i mieli wygórowane poczucie wyższości własnej, jako wolnych obywateli, nad niewolniczymi wojskami Austriaków.

Ale zaznaczały się też objawy ujemne. Wszystko piło i łupiło. Nieład był duży. Dyscyplina, zawsze w w armiach rewolucyjnych dosyć luźna, rozprzęgała się coraz bardziej. Na grabież ludność włoska odpowiadała tu i ówdzie zbrojnym oporem. Sułkowski, żołnierz wolności, musiał przeprowadzać jedną z ekspedycyj karnych.

Tymczasem, w końcu lipca nadciągnęły z trzech stron siły austriackiej armii Wurmsera — na odsiecz Mantui, grożąc zarazem odcięciem odwrotu armii Bonapartego. Wódz francuski musiał na gwałt zebrać swą armię, porzucając oblężenie. Trzeba było topić park oblężniczy. Nastąpiły kolejne zwroty zaczepne przeciw rozdzielonym jeszcze siłom austriackim, uwieńczone 3 sierpnia zwycięstwem pod Castiglione. Wurmser, zasiliwszy Mantuę wojskiem i sprzętem, wycofał się do Tyrolu. Armia Włoch była zwycięska lecz mocno osłabiona.

O tym działaniu Sułkowski nie dał relacji; z powodu nieszczęsnej pacyfikacji nie był przy Bonapartym. Rozumiemy, że musiał być wściekły z powodu straconej okazji.

Właśnie jednak wyłaniała się nowa. Wurmser bardzo szybko pozbierał i wzmocnił swą armię. Podejmował nową ofensywę, główną siłą zamierzając spłynąć z Tyrolu doliną Brenty na Bassano. Uprzedził go Bonaparte uderzeniem w górę Adygi na Trydent, gdzie znalazł się na komunikacjach Wurmsera, a następnie uderzył nań z tyłu, zadając mu szereg potężnych ciosów.

Tę pierwszą kampanię tyrolską opowiedział Sułkowski żywo i z uniesieniem. Wystąpiła w niej wyraźnie wyższość Francuzów. Austriacy nie byli w stanie obronić przeciw nim cieśnin górskich, tak łatwych do zamknięcia. „Racja tego — pisze Sułkowski — jest prosta i zawsze ta sama. Niemcy, przywykli bić się tylko w linii (zwartym trójszeregowym szyku), nie umieją ani obsadzić krawędzi, ani rozłożyć obrony wzgórza; nawet obcisłe ich ich mundury, krępując ruchy, nie dają im nigdy spinać się po skałach, to też zawsze zbijają się w kupę na dnie wąwozów. Przeciwnie, nasi żołnierze, niczym nie skrępowani, zwinnie wspinają się po najbardziej nawet stromych stokach, osaczają z bliska te automaty i rozprawiają się z nimi". Podnosi też Sułkowski, że „bitwy wygrywają ludzie i tylko ludzie i w nich jest wieczysta gwarancja naszych zwycięstw".

W tym, co przytoczono, dotknął Sułkowski różnic w taktyce dwóch stron walczących. Austriacy bili się według reguł powszechnie przyjętych w w. XVII, w rozwiniętych szykach zwartych, strzelali salwami plutonowymi lub batalionowymi na komendę, nacierali zwolna, strzelając raz po razie, długimi liniami rozwiniętych batalionów.

Wojska Republiki francuskiej przywykły rozsypywać czołowe bataliony w szyk rozproszony, stosować ogień pojedyńczy, uderzać nagle kolumnami na bagnety. Odpowiadało to żołnierzowi mniej wyćwiczonemu a za to bardziej samodzielnemu, chcącemu się bić i szukającemu okazji do rozprawy z przeciwnikiem. Ale w marszu do boju często zdarzał się nieład, występowała „rozsypka wprzód" a w razie zaskoczenia ogniem przeciwnika, uderzenia z boku lub z tyłu, często następowała ucieczka w rozsypce i panika.

Sułkowski ukazuje jak 11 sierpnia pod Porto Legnago „wódz naczelny, który nazbyt się sam narażał, usiłował zebrać pierzchających; musiał jednak sam się śpiesznie wycofać i zawrócić na drogę do Werony". Wtedy to Sułkowski samorzutnie stawił czoło Austriakom, zebrawszy 200 uciekających żołnierzy; opuszczony później przez nich, pomagał generałowi Masséna pozbierać dwa bataliony grenadierów, których ogień zatrzymał w końcu pościg austriacki. „Zwycięstwo — pisze Sułkowski — cofnęło nam chwilowo swe łaski. Daje je wydrzeć sobie tylko odwadze, kierowanej przez ład i dyscyplinę".

Wurmser z częścią swej armii zdołał przebić się do Mantui. Szło o to teraz, by go zmusić do zamknięcia się w fortecy, osaczyć i ubezwładnić. Wynikły stąd 13 i 14 września dwie kolejne bitwy pod San Giorgio. W pierwszej znowu natarcie w nieładzie, piechota rozsypana w tyraliery wymyka się z rąk dowódców, szarża kawalerii austriackiej wywołuje paniczną ucieczkę. Adiutanci, wysłani przez Bonapartego, próżno usiłują ją opanować. Wreszcie, z trudem, zdołano stawić czoło zebranymi garstkami ludzi i zatrzymać pościg.

„Czas był — pisze Sułkowski — powrócić do prawdziwych zasad wojny, przywrócić porządek w oddziałach, zbyt przywykłych do rozpraszania się w walce; nasi żołnierze sami uświadomili sobie tę prawdę przez ostatnie porażki, a generałowie umieli skorzystać z ich dobrej woli". Nazajutrz wznowiono natarcie, ale już zorganizowane i prowadzone, a Sułkowskiemu udało się przez trafne skierowanie natarcia batalionu grenadierów i zaskoczenie przeciwnika ogniem flankowym stu strzelców przyczynić się do zwycięskiego rozstrzygnięcia walki.

Lecz armia Włoch wyszła z operacji wrześniowej osłabiona, bardziej jeszcze wyczerpana; nękała ją malaria; nurtowało zniechęcenie. W tych warunkach przyszło w listopadzie stawić czoło nowej armii austriackiej Alvintzy'ego. Był to najkrytyczniejszy okres wojny włoskiej. „Tym wciąż odradzającym się hordom — pisze Sułkowski — mogliśmy przeciwstawić tylko żołnierzy zmęczonych twardą służbą w górach i przetrzebionych zarazą, szerzącą się przy blokadzie Mantui. Zresztą najdzielniejsi wojownicy polegli w tylu krwawych starciach, reszta stanowiła jakby ciało zwątlałe, choć jego dusza była jeszcze silna. Sztuka i poświęcenie generałów wszystkiemu zaradziły, ożywiły na nowo zapał prawie wygasły i zdołały co najmniej osiągnąć korzystny wynik walk, po daremnych próbach wywalczenia stanowczego zwycięstwa".

Zaczęło się od szeregu porażek: w południowym Tyrolu, następnie nad Brentą, gdzie znów dywizja Masséný pomieszała się w natarciu, które się rozpełzło, a Sułkowski znów dowodził jakimiś dwustu strzelcami, chroniąc natarcie przed grożącym z boku przeciwuderzeniem.

Później przegrana pod Calviero; wieczór przed bitwą Sułkowski z oddziałem strzelców konnych próbuje zaskoczyć czaty austriackie, przyjęty silnym ogniem, koń pod nim ranny się wali, jego jeźdźcy pierzchają. W bitwie znów rozprzęgają się natarcia „jak zwykle". Przeciwnik przechodzi do przeciwnatarcia, odrzuca Francuzów. Położenie staje się groźne.

Bonaparte usiłuje je naprawić przez zaskoczenie zwycięskich Austriaków uderzeniem resztkami swej armii na ich flankę. Następuje bitwa pod Arcole; 15 listopada walka o groblę na rzece Alpone. Znana jest z obrazów i rycin Siena, gdy Bonaparte z rozwiniętym sztandarem w ręku rzuca się na groblę na czele atakującej kolumny.

Kolumnę tę na próżno usiłował przedtem poderwać generał Augereau, również z chorągwią w ręku. Padło przy nim kilku generałów i wyższych oficerów rannych; żołnierze utknęli w ogniu. Na to przybył Bonaparte. „Widzimy — pisze Sułkowski — jak pojawił się nagle na grobli, otoczony sztabem, z gidami (szwadron przyboczny) za nim, zsiadł z konia, dobył szabli, wziął w rękę chorągiew i rzucił się na most pod gradem kul. Widzą go żołnierze i nikt nie idzie jego śladem. Byłem świadkiem tej niesłychanej podłości i nie mogę jej pojąć..."

Otoczenie Bonapartego zdziesiątkowane, Sułkowski kontuzjowany, nieprzytomny. Jak później się dowiedzia „naczelny wódz widząc daremność swych wysiłków, wycofuje się i tym razem grenadierzy idą za jego przykładem; wszystko pierzcha, wszystko się ciśnie, tłok jest taki, że go zepchnięto w rów pełen wody; gdyby nie sztab, byłby utonął, bo uciekający ani myśleli go ratować..."

Przegrana była chwilowo nie tylko walka o most, ale z nią razem walka o duszę żołnierza.

Bonaparte ani na chwilę nie przerwał wysiłków; nazajutrz, 16 listopada, Sułkowski podrywa kolumnę francuską do przeciwnatarcia, jest sukces lokalny, natarcie austriackie rozbite. Ze zmiennym szczęściem powtarzają się wysiłki, aż 17 listopada dobrze skombinowane przeciwnatarcie rozstrzyga bitwę; Austriacy odchodzą, poturbowani, choć nie pobici.

Przychodzi kilka tygodni wytchnienia. Armia odpoczywa, wchłania uzupełnienia, krzepnie.

W styczniu nowa ofensywa Alvintzy'ego między jeziorem Garda i Adygą. Bonaparte błyskawicznie zebrał siły na wyżynie Rivoli do bitwy. Tu, w styczniu po załamaniu się jego natarcia na dominujące pozycje przeciwnika, zewsząd opadnięty przez Austriaków, chwilowo otoczony zupełnie, kolejnymi uderzeniami zbieranych śpiesznie oddziałów na wynurzające się kolumny nieprzyjacielskie odniósł zdumiewające zwycięstwo.

Nie przyszło łatwo. Była chwila, gdy na lewym skrzydle dwie „półbrygady" (dzisiejsze brygady) pierzchały bez walki. Sułkowski brał udział w opanowywaniu sytuacji; ale za ponownym uderzeniem austriackim z boku lewe skrzydło pierzcha raz jeszcze, całość armii odpływa, wszystkie punkty dominujące są w ręku Austriaków. W zupełnym zamęcie dowódcy i adiutanci skupiają żołnierzy, organizują obronę, prowadzą przeciwuderzenia. Sułkowski jest w głównym ognisku walki; wraz z bohaterskim kawalerzystą Lassalle'm prowadzi przeciwuderzenia, łamiąc natarcie głównej kolumny „cesarskich". Widzi następnie pogrom innej ich kolumny, tej, która wyszła na tyły armii Bonapartego, a następnego dnia zwycięskie natarcie na górującą wyżynę La Corona i ostateczną klęskę Alvintzy'ego.

Jest upojony zwycięstwem, urąga przeciwnikowi, którego dowódcy są ubezwładnieni nadmiarem odpowiedziałalności a żołnierze to „najmici, niezdolni do entuzjazmu". Sławi żołnierza francuskiego, w którego charakterze narodowym jest „zwinność fizyczna i wstręt do poniżenia". „Byle ochotnik — pisze Sułkowski — który uchyla się od niebezpieczeństwa, gdy sądzi, że jego tchórzostwo będzie niedostrzeżone w tłumie, ryzykuje śmierć, gdy ma do wyboru śmierć lub pohańbienie; poddawać się cząstką to dla naszych wojsk jedna z możliwych przygód wojny; ale złożyć broń masą, opuścić wodza, którego szanują i sprawę, którą uwielbiają, doznać tego wstydu, którym tylekroć przez swe czyny piętnowali przeciwników, to dla nich myśl nie do zniesienia; i jeśli nieprzyjaciel popełni tę niezręczność, że ich postawi w sytuacji rozpaczliwej, wtedy przeszkody naturalne i przewaga liczby tracą znaczenie wobec groźnych przejawów poświęcenia, które staje się jedyną nadzieją wojowników francuskich. A jeśli dodać do tego, że żołnierze nasi, obdarzeni zadziwiającymi siłami, umieją przejść 29 *lieues* (116 km) w sześćdziesiąt godzin i bić się w przerwach w marszu, traktując chwile walki jako odpoczynek, pojmuje się, że losy Włoch nigdy nie zależały od wyniku jednej bitwy..." — kończy Sułkowski, wskazując na kontrast między wojskami republikanów a wojskami monarchów, kontrast „równie ostry, jak między niewolnictwem a wolnością".

Była przesada w tej entuzjastycznej tyradzie; była i ta prawda niewątpliwa, że wojsko pozbawione wielkich sił moralnych i nie zasilane prądem woli walki i energii, idącym od dowódców i sztabów nie sprostałoby takim sytuacjom, jak te, z których wychodziła zwycięsko „armia Włoch".

Sułkowski opisał jej ofensywę wiosenną przez Alpy na Wiedeń, przerwaną zawieszeniem broni w Loeben. Opisał szczególnie świetnie kampanię korpusu Jouberta w Tyrolu, gdzie żołnierzom wolności przystało walczyć z powstaniem górskiego ludu. Sułkowski pisze z widocznym bólem: „Zwycięstwo trzymało się nas, pokąd biliśmy się z najmitami, ale zawahało się odkąd walczyliśmy z ludem broniącym swej niepodległości".

Tym razem z szacunkiem pisze o przeciwniku, z podziwem dla jego zaciętości, odwagi i pogardy śmierci, głosi jego sławę. Skłonny utożsamiać sprawę wolności ze zwycięstwem sztandarów francuskich, tutaj Sułkowski — polski żołnierz wolności — pogrąża się w zadumie nad tą tragedią losu, walką przeciw ludziom „chwytającym za broń, by bronić swego mienia, w imię szlachetnego pragnienia, żeby u siebie być panem".

MARIAN KUKIEL

WITAĆ ZNÓW BĘDĄ POLAKÓW

I

Z wieży wysokiej, w drodze dalekiej
mleczne błysnęły latarnie gazowe.
To w Teheranie, lekko i szklanie,
na pożegnanie zapala mroki
naszej kolumnie ciągnącej naprzód pochodem wielkim
stolica Persów. Bywajcie zdrowe;
zdrowe bywajcie ziemie irańskie,
przez które pochód nasz ciągnie naprzód,
przez góry liczne, rzeki bezpańskie,
w upartym, szybkim żołnierskim marszu.

II

W rosie niebieskiej, w rzece ogromnej
zalśniły gwiazdy zimne o świcie.
Już wyruszamy w dal. I rzucamy
Bagdad uśpiony, mgły nieprzytomne,
pustynie rude, piasku ławice.
Trąbki zagrały. Droga przed nami.
Za nami miasto. Za nami bramy.
A szczyt meczetu kulą złocistą
cisnął w powietrze, jak lampą czystą,
która nas żegna zakrytych mgłami.

III

Już opuszczamy Damaszku mury.
Już wymijamy syryjskie chmury.
Przeskakujemy libańskie góry,
nasz marsz zniżając do wielkich dolin.
Z Persji przez Irak, Syrię i Liban
i w Transjordanii staniemy chyba.
Dokąd idziemy? Idziemy z góry
w doliny. Z góry w doliny a z dolin w góry
pnąc się powoli.
Tam góra poszła, tu morza szyba
szeroko błysła. A my idziemy żołnierze wolni!

IV

W tyle za nami już świeci harda
na białych wzgórzach Jerozolima.
Jużeśmy przeszli. I już nas nie ma
w kraju obfitym, krokami zrytym.
Wiatr tam zasypał ślady za nami.
I ziemia krzepnie nam pod butami.
Wszędzie ta sama. Wszędzie tak twarda
wciąż wędrującym, wciąż niepobitym.
Tylko te cienie, co pod oczyma
osiadły, siedzą, ślad jadowity.

V

Cóż to? Jakiż to kraj znów przed nami leży?
Wdzięczy się w słońcu, dzwoni ptakami,
błyska pszenicą, mlekiem i ryżem?
Wśród których szczyty świecą piramid
a do piramid pochodem chyżym
idą kolumny polskich żołnierzy,
stąpając ciężko wprost do Kairu? Żegnamy Kair
i pustyniami w drogę daleką, która przed nami,
ruszać musimy w brzasku chłód świeży,
by stanąć może gdzieś pod Paryżem?!

VI

Jedni na Francję, drudzy na Włochy
ruszyli znowu w drogę przed siebie.
Gdy pierwsi brali mury Paryża, drudzy pod Rzymem,
ochrypli, czarnym okryci dymem,
w pochodzie trwali. Drogę rąbali.
Przez Apeniny maszerowali.
Łuny się po nich niosły na niebie.
Trzeszczały państwa wzdłuż Europy.
A oni naprzód zawzięci parli.
Przez Francję, Belgię, w Niemcy się wdarli.

VII

Jeszcze nie doszli dziś do Warszawy,
choć szli przez tyle krajów i mórz.
Myślą w ojczyźnie. Z bagnetem w ręce.
Nie chcieli więcej. Nie chcieli sławy.
Szli znad Tamizy. Szli znad Sekwany,
znad Nilu, wśród tylu nocy i wśród tylu burz.
I tylu miast. I idą dalej. Marsz nieprzerwany.
Trąbka gra znów, jak w starej piosence.
I w murach swoich witać będą powracających
Polaków:
Poznań i Lwów, Warszawa, Wilno i Kraków.

MARIAN CZUCHNOWSKI



rysunki WOJCIECHA JASTRZĘBOWSKIEGO

NA POSTERUNKU

Aczkolwiek św. Barbara była w roku 1932-im na Kujawach „po lodzie" — w wieczór wigilijny, po suchym i słonecznym dniu, zanosiło się w naszym miasteczku na lekki przymrozek. Posługacz szpitalny, Ambroży, przyjechał przeto po lekarstwa na rowerze — i rower ten stał dotąd przy sztachetach aptecznych, dając świadectwo smutnej prawdzie, że wieczerza wigilijna zacznie się dopiero po jego odjeździe t.j. nie wiadomo kiedy. Z okien laboratorium padały na chodnik zimne smugi „dziennego" światła, jakby jeszcze chłodniejsze od odświętnego blasku księżyca, który wystąpił na ten wieczór w gali pełni, w asyście wszystkich roczników gwiazd.

Naprzeciwko, u państwa Baranowskich, wstawano właśnie od stołu. Poprzez desenie firanek widać było ciemne, bezładnie poruszające się sylwetki, poczem z chaotycznie rozrzuconych plam świeczek ułożył się wysoki trójkąt choinki.

— U nas zawsze musi być inaczej, niż u ludzi — myślałam z goryczą, wpatrując się łakomie w rysujący się przed moimi oczyma grzeczny obrazek ze świątecznej pocztówki.

— My jedni... — snułam dalej gorzkie myśli, z nosem rozpłaszczonym o szybę. — Ciągle te recepty, zarazki, płukanie gardła...

W oknie laboratorium mignęła biała postać ojca. Rower szpitalny tkwił na stanowisku, u wejścia do apteki.

— Kartofle rozmuźnieją, z sandacza wszystek smak wyleci, do barszczu chyba wody dolać się przyjdzie — pojękiwała w korytarzu Józiowa.

— Więc, jak już mówiłem, my stoimy w zagajniku, a oni pakują się z kulomiotami na tę górkę po zachodniej stronie szosy, no — tu, gdzie ta zapałka... I my sobie w tym zagajniku mówimy... — dolatywał z sąsiedniego pokoju głos stryja Bolesława.

— Rozpacz. Czarna rozpacz. Wybrali się z tą epidemią na święta — tłumaczyła matka ciotce Wandzie, która bojkotowała przygotowania świąteczne, bo od śmierci męża „wszystko jej było jedno, świątek czy piątek, wigilia czy popielec". Nie widziałam jej też od rana.

— Ty sobie nawet przez chwilę nie wyobrażaj, że dostaniesz tego konia. Sam widziałem, jak go pan Kamiński dla Jurka kupował — syczał starszy brat.

— Tam był drugi trochę mniejszy — podejmował Tadzik.

— A mnie już wszystko jedno, byle się to straszne czekanie skończyło, dłużej już nie wytrzymam — myślałam.

U państwa Baranowskich zapalono tymczasem „zimne ognie". W świetle ich rozbłysły na chwilę kolorowe szklane kule, wyklęte w naszym domu, jako zabawka niepolska. A takie ładne...

Bryczka pana Dębkiewicza, która przed chwilą przejechała pusta w kierunku rynku, przetoczyła się znów z turkotem z ciemną postacią omotanego w burkę pasażera na tylnym siedzeniu.

— Kto to może być? — zastanowiłam się. — W Wigilię?

Drzwi apteki otworzyły się z chrzęstem i zgrzytem. Widać było, jak Ambroży przymocowuje kosz z lekarstwami do roweru i odjeżdża pośpiesznie sprzed schodków. W chwilę później zgasły światła w laboratorium, zdwoił się natomiast gwar w kuchni.

— Nareszcie zaczną się święta dla nas — mowił ojciec głosem zmęczonym i bezbarwnym. — Co za dzień! Biedne dzieciska. Toż to już prawie dziewiąta. Ale ja naprawdę nie mogłem odmówić urlopu panu Władysławowi — wiesz sama — niedługo się żeni...

— Wiem, wiem... Tylko już nie marudź, tylko prędzej — nagliła matka.

Potem i u nas było wszystko, jak u ludzi. Opłatki i skwapliwe życzenia. Cmokanie w oba policzki i całowanie rączek. Szuranie krzesłami i rozlewanie żubrówki. Rozckliwanie się starszych, straszenie dzieci.

— Ty na pewno nie dostaniesz tego konia. Ale i mnie mogą skręcić laubzegę.

— Mogą dać same książki...

— Dwa lata temu Niusia była jeszcze z nami... A dziś o dwieście kilometrów... gdzieś w Skierniewicach...

— Całe cztery miesiące minęły już od jej wyjazdu, pomyśleć tylko, cztery miesiące...

— Cztery miesiące, kawał czasu...

Śliski, biały obrus — i rysujące się pod nim garstki siana. Ot i tobie długie życie — proste jak to źdźbło trawy. A jemu — pokurcz jakiś, połamaniec, Bóg wie co, jak tu powiedzieć?... A jej — kwiaty.

Ciotka Wanda tłumaczyła przejęta, że — tak! Kwiaty — to sama radość, taka prawdziwa, pełna łez szczęścia, jak w starej piosence. I nucić zaczęła kresową zawywajkę o zeschłych różach i pierwszej miłości.

— Tylko nie fałszuj — przerwał stryj Bolesław — o pierwszej miłości nie ma mowy. *Un petit peu* za późno.

— Uszka się Józiowej udały — orzekł ojciec. — Nic im czekanie nie zaszkodziło. Barszcz tylko nabrał mocy i koloru. I na głodno lepiej smakuje...

— Jak w „Panu Tadeuszu" — wtrąciła ciotka Wanda.

— Co ty tam wiesz! Dla mnie nie „Pan Tadeusz" jest autorytetem w sprawie barszczu, tylko nasza Józiowa. Od Mickiewicza barszczu się gotować nie nauczysz. Ale to też prawdziwa poezja...

W szum głosów, w nieład równoległych, przekrzykujących się rozmów wdarł się nagle ostry głos dzwonka. Ojciec poderwał się automatycznie od stołu, a po chwili wrócił z apteki, resztki ostygłe odsunął, pochwały barszczu już nie kontynuował, a do ryby się zabrał, jakby to nie sandacz był, ale zwykły piątkowy śledź.

U państwa Baranowskich rozjarzyły się na dobre świeczki na choince — i poprzez ulicę dolatywał pogłos wesołej kolędy. Bryczka pana Dębkiewicza przetoczyła się znów z turkotem przed naszymi oknami.

— Po księdza — objaśnił ojciec półgłosem, by tylko matka słyszała. — Pogorszyło się nagle młodej pani Różyckiej. Przychodzili właśnie po zastrzyki. Serce nie wytrzymuje. Doktór Janowski znów do nich jeździł... Który to już raz dzisiaj?

Stryj Bolesław przypomniał sobie tymczasem, że zostawił fajkę w oficynie. Ledwie oderwać mu się udało chłopców, którzy czepiali się jego rękawów i iść z nim razem usiłowali. Wieczerza zaczynała się już dłużyć, a tu jeszcze karaski w śmietanie, a tu jeszcze kompocik, a tu jeszcze kisielek, a tu jeszcze kluski z makiem.

— Starzeje się człowiek — orzekła matka. — Pamiętasz, Wandziu, wigilie na Mostowej? Bez czternastu dań się nie obeszło, a dziś siedmiu poradzić nie można.

— Kłopoty nas zjadły, gdzie tu cieszyć się jedzeniem, kiedy czasy takie niespokojne...

— Żeby nie dzieci...

Dzieci patrzyły tymczasem szklanymi oczyma przed siebie, w zamknięte od rana drzwi saloniku. Bracia pojadali melancholijnie bakalie, marmeladka smakowała mi coraz mniej. Czyżbym przestała lubić marmeladki?

Dzwonek apteczny uszedł tym razem mojej uwagi. Po chwili dopiero usłyszałam odgłosy szamotania się z oszklonymi drzwiami i przytupywania o kamienne schodki.

— Drzwi znów zamarzły — skonstatowała matka. — Tyle razy mówiłam, że koniecznie trzeba wstawić podwójne. W naszym klimacie...

— Mróz musiał chwycić na dobre...

Wyjrzałam przez okno. Szyby pokryły się pierwszym delikatnym zamrozem, tym w szerokie liście morskich wodorostów. U państwa Baranowskich choinka gorzała jasnym blaskiem.

Drzwi apteczne nie ustępowały. Ojciec wrócił do pokoju po posiłki.

— Bolesławie... Gdzie jest Bolek?

— Daj spokój, w oficynie... Zaraz przyjdzie...

Stryj odezwał się jednak na wołanie z aptecznej materialni. Poprzez długi korytarz dobiegały przez dłuższą chwilę do siedzących przy stole odgłosy pobijania, stukania, podważania, skrobania, szamotania — wreszcie, jak wystrzał na wiwat, rozległ się trzask wywalonych drzwi. Odpowiedzieliśmy na to wybuchem śmiechu. W tej samej chwili u państwa Baranowskich zabrzmiało gromkie „Sto lat" w wykonaniu chóru zdecydowanie wielogłosowego.

Klient wszedł tymczasem do apteki i zgrabiałymi rękoma przewracał kieszenie w poszukiwaniu recepty. Był to, raz jeszcze, ojciec owej chorej pani Różyckiej.

— Nie mogłem zapomnieć, musi być gdzieś, w pośpiechu... Gdzież ja ją mogłem schować? Miałem w ręku, gdy panowie mocowali się z tymi drzwiami.

— Trzymały, jak zaklejone, jak cholera — za głośno jakoś i nieswoim głosem podjął stryj Bolesław.

— Córce gorzej. Doktór mówi, że zależy na każdej minucie, a tu z tą receptą...

— Teraz gorzej, a zaraz będzie lepiej... Co tam się martwić... A recepta zaraz się znajdzie... — zagadywał stryj.

Ojciec nie spojrzał nawet na niego, tylko lekkim, niewidocznym niemal ruchem, głowę zwrócił w jego kierunku. W tymże momencie stryj uprzytomnił sobie, że znalazł się za ladą apteczną, tak, jak gotów był ukazać się zgromadzeniu familijnemu — w pełnym przebraniu świętego Mikołaja. Zdania więc nie dokończył i niezręcznie wycofał się do przyległej poczekalni.

— Córce gorzej — powtórzył klient. — Zochnie gorzej. Nie odzyskuje przytomności. Matki nie poznaje. Tchu jej brak, rozumie pan, jej, co Wisłę przepłynąć mogła, jak nic... Gdzież ta recepta, Boże miłosierny, gdzież ta recepta?

— Spokojnie — powiedział ojciec. — Może w rękawiczce?

Była tam istotnie. Skomplikowane jakieś zalecenie, wymagające gotowania i sterylizacji. Ojciec stanął za „drugim stołem", przy wagach i sprawnymi, oszczędnymi ruchami rozstawiał potrzebny sprzęt, otwierał szafki z narkotykami, podgrzewa wodę.

Klient usiąść nie chciał. Stał tuż przy ojcu, śledząc z niepokojem każdy ruch, zgarbiony i osowiały, zda się niezdolny do zmiany pozycji. Szron topniał i spływał cieniutkimi strużkami z wąsów, fokowego kołnierza, z obuwia — w małą, żałosną kałużę na linoleum w czarno-białą szachownicę. Ocknął się wreszcie i zagadał:

— W Wigilię pana magistra nachodzę — tak strasznie mi przykro...

— Nasz zawód nie zna świąt. Przyjdzie Pan z wiadomością, że lekarstwo pomogło — ot, i obaj będziemy dobrze wspominali i te przeklęte drzwi i Wigilię....

— Myśli pan, że pomoże, że tu jeszcze coś może pomóc. Panie...

Ojciec nie odpowiedział nic. Pochylił się nad palnikiem, wpatrzony w zdradliwą powierzchnię płynu, od długich już chwil na granicy zdawało by się wrzenia.

— Czy to ma się zagotować?

— Tak, to musi się gotować przez kilka minut. Nie ma rady.

— Kilka minut... — z rozpaczą powtórzył klient.

Poczem znów zamarł w bezruchu, wpatrzony w rząd naczyń z groźnymi łacińskimi nazwami. Ojciec podszedł tymczasem do kantorka, by opisać receptę i przygotować opakowanie. Nie chiał tracić ani chwili drogocennego czasu. W aptece zaległa cisza. Z sąsiedniego pokoju dochodziły odgłosy kroków stryja Bolesława, który tam i z powrotem przemierzał długimi krokami pokój, nie mogąc jakoś zdecydować się na wejście do apteki po porzuconą na kontuarze sakwę z prezentami.

Ojciec zauważył ją dopiero po wyjściu klienta, gdy powoli starannie sprzątał ladę, jakby odkładając moment opuszczenia apteki.

Stryj, oparty o szuflady z ziołami, kręcił nerwowo końce długiej białej brody, skręconej pracowicie z pakuł przez ciotkę Wandę.

— Bolku — zawołał wreszcie ojciec — Bolku, my przecież musimy tam iść... Dzieci... Toż to już jedenasta. Tadzik nie śpi, biedactwo. Tak późno.

Byliśmy już tak zmęczeni i zaspani, że nie raziło nas nic. Ani katar św. Mikołaja, ani szeptana rozmowa rodziców. Był koń, była laubzega, było „W pustyni i w puszczy". Na wielkiej choince z białobłockich lasów, „od hrabiego", zabłysły różnokolorowe świeczki, złocone szyszki i orzechy.

Ale przecież nie było tak, jak należy i doskonale odczuwaliśmy to wszyscy. Stryj Bolesław nie opowiadał ani o podchorążówce w Bydgoszczy, ani o ucieczce z niewoli. Ciotka Wanda nie pudrowała nosa i nie poprawiała loczków. Matka nie częstowała nikogo. Ojciec nie intonował kolęd. Bracia tylko zapamiętale, raz po raz, puszczali po podłodze czerwoną nakręcaną lokomotywę. Siadłam z książką w kącik i przy blasku świeczek choinkowych czytać zaczęłam o rozmowie panów Rawlinsona i Tarkowskiego nad kanałem suezkim, powstaniu Mahdiego, małej Nel i różowych flamingach.

Nie zauważyłam nawet, że ojciec dwa razy wymykał się do apteki. Potrzebne były teraz gotowe leki z pudełek, zastrzyki obliczone na podtrzymanie s[illegible] przez kwadrans, czy godzinę, pr[illegible]y momenty, które tak szybko mijały państwu Baranowskim przy zapalonej choince.

— Czy ty pamiętasz tę chorą — pytała ciotka Wanda — to chyba ta wysoka blondynka, która latem przychodziła do biblioteki, w takim białym palcie z dużymi kieszeniami...

— Nie pamiętam. Ale rozumiesz sama: ona ma dwadzieścia lat i malutkiego synka. Jedynaczka... Pakują jej zastrzyk po zastrzyku... Nie wytrzyma już więcej... Kryzys. Boję się, że znów zadzwonią. A jeśli nie zadzwonią — będzie jeszcze gorzej.

— Tatusiu, on mi konia zabiera. On się bije...

— Jak *siebie* bije, to cóż to ciebie obchodzi? Pokaż lepiej zabawki. Gdzie ty to będziesz chował, co ty z tym zrobisz? Sklep otworzysz? Co to? Dzwonek?

— Nie. Wydaje ci się, coś na stole zabrzęczało.

W tej samej chwili dzwony odezwały się na Pasterkę. Państwo Baranowscy wstali od stołu i pośpiesznie ubierać się zaczęli do wyjścia. Lepki, mokry śnieg padał wielkimi płatami, szybko zasypując ślady przechodniów, ciągnących do kościoła. Dzwonek apteczny zadźwięczał, tym razem naprawdę.

Ojciec spojrzał wymownie na matkę, i wolno, zgarbiony, ruszył do apteki.

— Kaliflorku — do gardła płukania, dla brata — zaskamlał chłopak u drzwi.

— Kalichlorku, ty w takiej chwili... W takiej chwili...

— Uj, niedobrze, zwiewaj, bracie, pókiś nie oberwał... — doleciało z ciemności.

Ojciec wrócił do nas — i nie mógł już dłużej ukrywać niepokoju. Umilkliśmy wszyscy w strachu przed dzwonkiem i w podświadomym wyczekiwaniu jego dźwięku. Chłopcy, prawdę mówiąc pospali się na kanapie. Stryj czyścił i ładował fajkę, ciotka — przez nikogo niesłuchana — snuła litanię wspomnień o młodo a okrutnie zmarłych. Świeczki dopalały się na choince małymi, żałosnymi płomyczkami, skwiercząc i swędząc dokuczliwie.

Dzwonek apteczny poderwał nas wszystkich do korytarza. Ojciec otwierał nerwowo drzwi — ustąpiły tym razem bez trudu.

— No, panie kolego — rzucił od drzwi doktor Janowski — ładną mieliśmy Wigilię, bałem się, że kamfory wam zabraknie... Na sen mi coś dajcie, do poduszki.

— Więc jak? — rzucił ojciec pytająco.

— Minęło. Końskie serce. Będzie się jej ta historia odzywała, ale — dobrze.

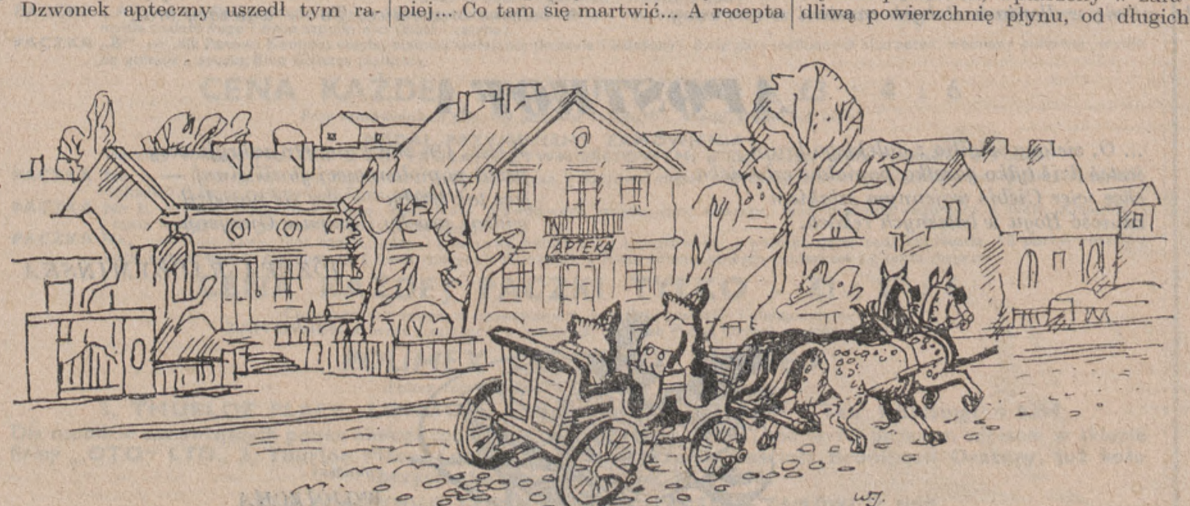
— Ciężko było, prawda?

— Lekko nie było. Czy to jeszcze Wigilia, czy już pierwszy dzień...

— My tu mówimy: „pierwsze święto", pamiętać proszę...

— Kujawiaki przeklęte!

MARIA DANILEWICZOWA



KOLĘDA

Na pieluszkach z siana,
w koronie światłości
leży boski kwiatek;

aniołowie z raju
na skrzypcach mu grają:
„chwała na wysokości!"

Józef i Maryja,
bydlątka pod szopą —
w tęczy gwiazd i komet;

króle na kolanach
składają mu wiano:
mirrę, kadzidło i złoto.

JERZY FACZYŃSKI

OSTATNIE ŚWIĘTA

Nasz ciężarowy samochód z przyczepką, wypełniony po brzegi pasiastymi pasażerami, stał jeszcze wewnątrz obozu Neuengamme na placu apelowym, ale lada moment mieliśmy ruszać. Każdy posiadał kogoś bliskiego więc otaczała nas spora gromada kolegów, którzy, korzystając z niedzieli i obojętności SS-Manów, rzucali nam ostatnie informacje.

Z budynku przy bramie wylazł podoficer — komendant transportu, motor stęknął i zahuczał.

— No, trzymajcie się. Co tu dużo gadać, wpadliście, że nie można gorzej. Ta Wittenberge to mordownia pierwszej klasy.

A przecież jakoś urządziliśmy się.

Obozik był mały, przylepiony do kompleksu fabrycznego — jak gniazdko jaskółcze do urwiska przepaści. Początkowo liczył 350 dusz, później 500 a po transporcie Łotyszów 750. O dalszym dopełnianiu nie mogło już być mowy. Ilościowo przeważali, jak zwykle, bolszewicy, dalej szli liczni, ale nieruchawi, Łotysze, tuż za nimi Niemcy, wreszcie Polacy, w liczbie około 100, i inne narodowości w drobnych, nie mających znaczenia, grupach.

Komendant obozu, starszawy podoficer z pijackim nosem, interesował się głównie grabieżą, wódką i dziewczętami, rządy sprawował więc „*Lager Aeltester*“ Ole — niemiecki komunista, który dociągał już dwunastej wiosny w zamknięciu. Był to człowiek ciągle jeszcze ideowy a ponieważ gros Niemców stanowili kryminaliści a poziom Rosjan był rozpaczliwy, zbliżył się do Polaków i w nas szukał oparcia w walce ze zbydlęceniem i okradaniem więźniów.

Nasza setka rekrutowała się przeważnie z młodzieży wiejskiej wyłapanej na roboty, skąd za byle drobiazg wędrowało się za druty. Było także paru b. jeńców wojennych, również z robót, paru starszych rzemieślników i kilku inteligentów, wyaresztowanych w różnych dzielnicach Polski niewątpliwie za konspirację, choć o tym nigdy nikt słowa nie wspomniał.

Niektórzy z Polaków pełnili nawet eksponowane funkcje obozowe, niestety nie zawsze zaszczytne. Taki np. Józek, Kapo „*Strohkommando*“, zawdzięczał swą funkcję brutalności, w której w niczym nie ustępował Niemcom, ale był wśród nas wyjątkiem. Janek·lekarz, kierownik rewiru, Bohdan, pisarz obozowy, Antek z kuchni, Heniek z pralni — byli to ludzie, którzy umieli zachować współczujące serca pod powłoką pozornej oschłości.

Setka nasza stanowiła grupę dosyć zgraną a zwartość jej wzmogła się jeszcze bardziej, gdy, od momentu inwazji, losy wojny poczęły się zdecydowanie rozstrzygać i stało się jasne, że musimy być czujni i przygotowani na wszelkie ewentualności. Poczęliśmy bardzo ostrożnie rozsnuwać siatkę konspiracji i wiązać kolegów w małe grupki, nieświadome swego sąsiedztwa, ale gotowe do samoobrony, gdyby zagroziła obozowi likwidacja lub anarchia, spowodowana „końcówkowym“ bałaganem.

Rzecz jasna nie wszyscy Polacy mogli być wtajemniczeni. Niektórzy, zdecydowani „muzułmanie“, nie byli już zdolni do działania, wielu miało za długie języki a paru zaliczaliśmy wprost do naszych wrogów.

Osobną grupę stanowili zniemczeni Polacy, obywatele III-ej Rzeszy, o niedwuznacznych nazwiskach i dobrej znajomości języka ojczystego, ale zacięci wrogowie polskości i Niemcy duszą i sercem. Przewodził im, jak zresztą i wszystkim Niemcom, Bruno Konowski, górniczy syn emigracyjnej rodziny z Bochum, zatwardziały recydywista i długoletni lokator przeróżnych więzień i obozów a z funkcji Kapo wszystkich Kommand fabrycznych.

Wreszcie zupełnie odrębną i tajemniczą pozycję stanowił Lorenz, również obywatel niemiecki, ale przyznający się do polskości, dziwne indywiduum, które poznaliśmy jeszcze w Neuengamme. Gdy w końcu sierpnia 1943 roku przyjechaliśmy z Oświęcimia, od razu ujrzeliśmy szczupłego, długonosego jegomościa o twarzy perliczki, który zjawił się na naszym bloku jako tłumacz wydziału politycznego obozu, spisywał nasze personalia i na prawo i lewo opowiadał wątpliwą polszczyzną, że jest nasz duszą i ciałem, że pracował w konsulacie polskim w Berlinie a jednocześnie był agentem naszego wywiadu i za to siedzi już siódmy rok, że ofiarowuje nam swoją pomoc i td.

Dziwiła nas trochę ta, niezwykła w obozie, szczerość, dziwiła sympatia, jaką niepodziewanie zapałał do paru przedstawicieli arystokracji z naszego transportu, wszyscy mieliśmy wyrobione zdanie o roli tłumacza w wydziale, który zajmował się śledztwem, ale ostatecznie Bóg z nim — mało nas to wtedy obchodziło.

Aż tu nagle wydarzyła się niespodzianka. Gdy załadowano nas do łaźni przed przeglądem lekarskim, który miał nas zakwalifikować do transportu, wśród kandydatów znalazł się i Lorenz, czołowy „prominent“ i szara eminencja obozu.

Wylądowaliśmy wspólnie w Wittenberge. Lorenz już w samochodzie rozpoczął szeptem informować, że jedzie razem z nami, by uzdrowić stosunki w obozie, do którego dążymy, że jest to jego poufna, nad zwyczaj ważna, misja. Nie wyjaśnił tylko kto go właściwie wysyła, czy władze esmańskie czy też jakaś tajemnicza egzekutywa obozowa. Po przybyciu wystąpił jako tłumacz, później jako *Vorarbeiter* korzystnej Kolonny i cały czas tak się zachowywał, że trudno było odgadnąć do czego właściwie zmierza. Na wszelki wypadek przyjęliśmy zasadę: — „z Lorenzem ostrożnie“.

Trwaliśmy tak przez cały prawie, jakże bogaty w wydarzenia, rok 1944. Dzień w dzień wyły syreny i czyste niebo przecinały smugi nieprzeliczonych samolotów alianckich, dzień w dzień spadały kartki z kalendarza i poczynała już budzić się zima a na frontach nie zapadały decyzje i coraz realniejsze stawało się, groźne dla więźniów zdanie: święta w obozie.

Tradycja obozowa głosiła, że jest to rzadki moment, w którym pasiaste społeczeństwo otrzymuje chwilę wytchnienia. Nawet w najgorszych latach Oświęcimia próbowano coś skleić, coś zorganizować, w innych obozach działo się podobnie i SS-Mani w dniu tym nie szwędali się po blokach, pilnując swoich spraw.

W tym roku nastroje, zwłaszcza wśród Polaków, były specjalnie złe. Osobista wolność nie nadchodziła a tymczasem kraj nasz zmieniał powoli okupanta i nadzieje zobaczenia rodzin i powrotu do ojczystych stron stawały się coraz bardziej nierealne i odległe.

Bolszewicy byli coraz bezczelniejsi, a kryminalni Niemcy dostawali wprost szału na myśl o niedalekiej szansie wyzwolenia i wyprawiali brewerie niemożliwe do zniesienia. Co wieczór po pracy do późnej nocy rżnęła fałszywie paroosobowa orkiestra, dzikie wrzaski nie pozwalały na odpoczynek a spirytus drzewny, żłopany w nieprawdopodobnych ilościach, odbierał szubrawcom resztkę świadomości.

Regularnie co niedziela odprawiano „nabożeństwo“ a błazeńska „procesja“, z dzwonkami, asystą i w powłóczystych szatach, obchodziła wśród wrzasków placyk obozowy. Rosjanie tarzali się po ziemi ze śmiechu, Niemcy rechotali w zachwycie a my zaciskaliśmy pięści i tłumiliśmy w sobie gniew, którego nie wolno było pokazać.

Nasza konspiracja czaiła się, jak mysz pod miotłą. Chwilowo zaopatrywaliśmy się w skórzane buty, gromadziliśmy, kto mógł, papierosy i ciepłą bieliznę a Janek lekarz przygotowywał apteczkę podręczną. Bóg wie co mogło wydarzyć się jutro.

A tymczasem święta nadciągały pełną parą.

Któregoś dnia zagadnął mnie Bohdan:

— Cóż, przyjdzie znowu przeświętować w obozie. Dla mnie to już szósty raz.

— A tak. Niech diabli porwą.

— Słuchaj, a może by tak co urządzić?

W pierwszej chwili myśl wydała mi się niedorzeczna, ale po namyśle począłem dopatrywać się w niej wielu stron dodatnich. Zapytywani koledzy podchwytywali pomysł skwapliwie, „organizatorzy“ deklarowali pomoc w żywności, „muzułmanie“ uśmiechali się do perspektywy napełnienia, raz wreszcie, wiecznie pustego żołądka. Rada w radę uchwaliliśmy, że urządzimy składkową wigilię, na którą, dla świętego spokoju, zaprosimy paru funkcyjnych Niemców i przedstawicieli wszystkich innych narodowości.

Olego już nie było, bo niespodziewanie zmobilizowano go do SS i wysłano na front, ale funkcję „*Lager Aeltestra*“ objął jego partyjny i obozowy przyjaciel Fide, który również nienawidził swych kryminalnych kolegów i darzył Polaków sympatią. Niestety był bardziej toporny od Olego, miał gwałtowny temperament i łatwo ulegał wpływom, ale Bohdan twierdził, że z jego strony projekt nasz spotka się z uznaniem.

Na wszelki wypadek wybadaliśmy co myślą o naszym zamiarze Bruno i kompania. Wywiad wypadł również pomyślnie. Bruno oświadczył, że Niemcy także coś urządzają, ale on „specjalnie“ przyjdzie do nas na parę minut, bo zawsze święcił wigilię.

Byliśmy już pewni swego i przystąpiliśmy do koniecznych przygotowań, gdy nagle spotkaliśmy się z opozycją ze strony dosyć niespodziewanej. Oto Lorenz oświadczył nagle Bohdanowi, że wycofuje się z organizacji wigilii, „bo musi bronić praw najbiedniejszych“, których chce się tu demonstracyjnie pominąć. Zdumiało nas to stanowisko, bo właśnie organizowaliśmy wieczór dla wszystkich a przy tym Lorenz, występujący w obronie równości, był zjawiskiem niespodziewanym i nawet komicznym.

Zawrzało w małym polskim obozowym światku. Opór Lorenza został potępiony i postanowiono organizować wszystko bez niego. Ale niedługo trwał spokój. W parę dni później zawezwał mnie Fide i oświadczył, że jeżeli natychmiast nie zaprzestanę faszystowskiej propagandy, on złoży na mnie „*Meldung*“.

Wdaliśmy się w długą rozmowę, która ostudziła nieco jego niebezpieczne zapały a mnie pozwoliła ustalić sprawcę awantury. Okazało się, że Lorenz, który tak niedawno adorował jeszcze arystokratów, poczuł inny wiatr i zdecydował zmianę orientacji. Stąd jego frazesy o „pokrzywdzonych maluczkich“, stąd donos na mnie o moją rzekomą działalność polityczną.

Fidego jakoś zaczarowaliśmy, ale projekt wigilijny zbladł znacznie. W obozie nawet na drobiazgi należy zwracać uwagę a tu sprawa wyglądała poważnie. Pachniało prowokacją i wsypą już prawie u progu wolności. Byliśmy wściekli na Lorenza, ale gra nie opłacała się.

Janek-lekarz wraz z Bohdanem próbowali jeszcze przekonać świeżo upieczonego „komunistę“, ale on trwał niezłomnie przy swoim, do poprzednich frazesów dorzucając jeszcze wyświechtane komunały, stare jak świat i przyprawiające o mdłości.

Nie było rady. Z ciężkim sercem zrezygnowaliśmy z projektu. Postanowiliśmy jedynie, że w naszej izbie sypialnej, gdzie mieszkała większość Polaków, zbierzemy się w wieczór wigilijny i zaśpiewamy kolendy.

Dni płynęły utartym trybem i oto nadszedł tradycyjny wieczór. Do południa pracowaliśmy jeszcze, ale po obiedzie pozostawiono nas już w obozie i zapędzono do porządków. Tymczasem w „*Schlafraumie*“ nr. 1, w którym, pod okiem Bruna, koczowało gros Niemców, zaczęła już rzępolić orkiestra, a po chwili porwały się wrzaski, rosnące z każdą minutą. Okazało się, że Lorenz przemycił z roboty wiadro spirytusu i sprzedawał go teraz za papierosy, pojąc Niemców jeszcze za białego dnia.

Nastrój był niewyraźny, ale jakoś przebrnęliśmy przez kolację i każdy powrócił do swego legowiska, by przykucnąć gdzieś w kąciku i przerzucić się myślą do najbliższych, do których tęskniły nasze zmęczone i samotne serca. Był wieczór i pierwsze gwiazdy zamrugały w zimnym, obcym niebie. Hałas orkiestry w niemieckiej izbie wzmagał się.

Nagle wszedł jeden z kolegów i szybko skierował się w nasz kąt.

— Co się stało?

— Za chwilę będzie awantura. Może już się biją.

— Ale kto, dlaczego?

— Lorenz spoił Niemców a teraz podburza ich przeciwko nam. Wrzeszczy, że chcieliśmy urządzić wigilię tylko dla Polaków a wszystkich innych wyrzucić na ten czas na podwórze, że oni, Niemcy, zostali przez nas obrażeni.

— A to ścierwo. No i co?

— Już podsuwają się do nas. Bruno ryczy jak zarzynany bawół.

— Natychmiast przechodźcie wszyscy do nas. Trzeba za wszełką cenę uniknąć awantury.

Wyszliśmy na podwórze, by przejść do izby nr. 1. Drzwi była otwarte, z zewnątrz pchali się Rosjanie, orkiestra umilkła, zagłuszona wrzaskami. W przestronniejszej części izby kłębili się czerwoni i rozognieni Niemcy, pośrodku stał Lorenz i gwałtownie gestykulował a po przeciwnej stronie, pomiędzy łóżkami, stłoczyli się Polacy wraz z paru Serbami i Czechami.

W tym właśnie momencie przed gromadę Niemców wyskoczył Bruno. Był tylko w spodniach i koszuli, policzki miał rozpalone, jak w gorączce, szparkami oczu przebiegał stojących naprzeciwko współwięźniów. Chwilę jakby przysłuchiwał się wrzaskom Lorenza aż nagle myśl jakaś zaświtała mu widać we łbie, bo niespodziewanie poskoczył ku wrzeszczącemu i chwycił go za bluzę na piersiach.

— *Ja, gut — aber bist du Deutsche oder Pole?*

Lorenz cofnął się zaskoczony.

— *Was...?*

Bruno naparł jeszcze mocniej.

— *Bist du Deutsche oder Pole?*

Lorenz wykonał ruch, jakby chciał się wycofać, ale w tej samej sekundzie ramię Bruna zatoczyło błyskawiczny łuk i dłoń z potężną siłą spadła na pysk Lorenza, tnąc go czerwoną pręgą przez całą długość.

Niemcy ryknęli niepohamowanym śmiechem a Bruno lewą pięścią huknął w brzuch prowokatora i wypadł na środek izby. Jednym machnięciem zmiótł wszystkie garnki z rozpalonego pieca i skoczył w tłum. W mgnieniu oka leżał już na podłodze Serb Vitek z rozwaloną skronią, inni poczęli chronić się od razów, jak mogli. Zawrzała dzika walka, ale na szczęście Niemcy byli pijani a nasi trzeźwi, nie upłynęło więc i 5 minut a już kryminaliści tłukli się pomiędzy sobą a my powyciągaliśmy kolegów na podwórze i skierowaliśmy do naszego „*Schlafraumu*“.

Noc była mroźna, ale żelazny piec grzał doskonale i przyjemne ciepło dawało wypoczynek członkom. Rozsiedliśmy się, gdzie kto mógł, otaczając ławą głów maleńką choinkę z ogarkami świeczek wśród gałęzi. Co chwila otwierały się drzwi i zapóźniony chłopak dołączał do gromady. Tuż obok stanęli zwartą masą Łotysze i wpatrywali się z nabożeństwem w drzewko. Francuzi, Holendrzy, Czesi, Serbowie przybliżyli się także i zamilkli.

Na wiejską, rozciągliwą nutę uderzył śpiew. W sercach naszych, jak każe odwieczna tradycja, rodził się Bóg, ale prawa wojny są nieubłagane i oto, jak i wszystkich poprzednich wieczorów, zawyły syreny i padł okrzyk: „*Licht aus*“. Zapadliśmy w ciemność, tylko choinka przeświecała płomyczkami świeczek.

Ponad nami, po zimnym grudniowym niebie, ślizgały się nieprzeliczone stada latających fortec, w których amerykańscy *boys* płynęli na Berlin. Nie mogli słyszeć naszych głosów, nie wiedzieli nawet, że istniejemy — a przecież śpiew nasz płynął razem z nimi i nieomylnie dorzucał swą cząsteczkę siły do zwycięskiego huku ich potężnych maszyn.

W tym samym czasie Lorenz stał samotnie obok swego legowiska i opuchniętymi szczękami pożerał nagromadzone za wczasu zapasy. Orkiestra rżnęła od ucha a poprzebierani za dziewczyny włamywacze przeginali się kokieteryjnie w spoconych łapskach swych rozhukanych partnerów.

JÓZEF GARLIŃSKI



WIERSZE

NIE POSYŁAM CI ŻYCZEŃ

Nie posyłam Ci życzeń, mój Bracie daleki,
bo czyż wyznać je wolno tam w domu niewoli?
czy do wilii siądziecie, zgłodniałe kaleki?
czyż milczenie nas srożej niż słów niemoc boli?

Nieme słowa mych życzeń tragicznie się plączą:
tu — Boże Narodzenie... tu — naród w żałobie...
choinka się w mych oczach z lasem polskim łączy...
jak tu śpiewać przy żłobie, gdy płaczem nad grobem?

Nasz naród? — wyzwolony! po cóż mu zbawienie?
po co klękać w stajence ma przed nagim Panem?
wszak dziś Dobrą Nowinę i cud Objawienia
głoszą władcy ze Wschodu krasnym tomiganem!

Wy wpędzeni do piekła, my wygnani z Raju,
wiemy jedno: że Wolność znów się ciałem stanie...
A więc — milczmy, mój Bracie, my tu, Wy
tam — w Kraju.

Naród z Bogiem się rodzi — cierpi —
zmartywychwstanie!

JÓZEF ANDRZEJ TESLAR

Na Wigilię roku 1946
i Nowy Rok 1947.

WIERSZ WIGILIJNY

Gdy dzieli się opłatkiem mej Ojczyzny — los
nie szukam gwiazdy pierwszej, pośród gwiazd czerwonych.
Tu — noce są bolesne — i życie za mgłą
rozpada się jak Polska pod linią Curzona.

Przeto nie będę łamać się opłatkiem z nikim,
bo mi się w dłoniach słabych zamieni w czerwony —
i zamiast być pokojem — wstanie grozy krzykiem —
i zamiast być ojczyzną — poddaństwem zaboli.

Tylko przełamię się mą wiarą z ziemią mego kraju,
i z lasem, który walczy, z miastem, które trwa —
aby wiedziała Ziemia: ci, co nie wracają —
to bolesne braterstwo. To — walczący brat.

APOSTROFA

... O, zielona wigilio z dalekiego kraju —
jesteś dziś tylko garstką popiołów człowieka —
chcę więc Ciebie wojennym szlakiem
zanieść Bogu w bolesnych rękach.

Wiem. On zmilknie. On zakryje oczy
przed popiołem owej glorii siwej —
lecz tak trzeba — aby się narodził,
widząc prochy i rozpacz Ojczyzny.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA



rysunki:
WOJCIECHA
JASTRZĘBOWSKIEGO

Życzenia Polonii Amerykańskiej dla żołnierzy polskich

MRS. HELENA POPŁAWSKA
8040 Olympia Street, Detroit 13, Michigan, USA

Wszystkim moim chrześniakom, kochanym Żołnierzom Polskim serdeczne życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku

---

Woodrow Wilson Post Nr. 2.

POLISH LEGION OF AMERICAN VETERANS
8444 Michigan Ave. cor. Ogden Street
Detroit 10, Michigan, U.S.A.

Życzenia Świąteczne
od
TOW. IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI
Gr. 109 Zw. Polaków w Am.
W. Skierkowski — sekretarz
3040 Jacob St., Hamtramck 12, Mich.

A. M. ANTECKI
Biuro asekuracyjne i realnościowe
6922 Michigan Ave., Detroit 10, Mich.

POLISH PAVILION
Składnica Polskich Pamiątek
5705 Chene Street, Detroit 7, Michigan U.S.A.
Jan Konaszewski

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia my Weterani Armii Polskiej z pierwszej wojny światowej zamieszkujący na wolnej ziemi Washingtona, którzy przed przeszło ćwierć wiekiem udaliśmy się za ocean na pola walki, aby na ostrzach bagnetów nieść wolność Ojczyźnie, a wierni tradycji tych walk, żołnierzowi polskiemu, temu żołnierzowi — tułaczowi, który po tylu latach walki z wrogiem nie może powrócić do swej Ojczyzny, zasyłamy słowa otuchy i pokrzepienia wraz z zapewnieniem, iż nie ustajemy w niesieniu pomocy i walce, dokąd nie nadejdzie dzień, w którym żołnierz polski tryumfalnie z bronią w ręku wejdzie do ziemi polskiej i symbol wolności Narodu Polskiego, sztandar Białego Orła, zatknie wysoko nad polską krainą, serdeczne życzenia nadejścia tej błogiej i upragnionej chwili

zasyła

PLACÓWKA 113, STOWARZYSZENIA WETERANÓW ARMII POLSKIEJ IMIENIA STEFANA STARZYŃSKIEGO

Jan A. Tyrka - - - - komendant
Jan Niedziałek - - - - I-szy podkomendant
Bronislaw Skowroński - - 2-gi podkomendant
Franciszek Grabowski - - adiutant protokołowy
Franciszek Jaje - - - - adiutant finansowy
Józef Mazur - - - - oficer kasowy

adres:
2238 Holbrook, Hamtramck 12, Mich., U.S. of America

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

NIEUGIĘTYM BOJOWNIKOM O WOLNOŚĆ OJCZYZNY ŻOŁNIERZOM WIERNYM PRZYSIĘDZE I SZTANDAROM

Legion of Polish Veterans of World War I — Quater's No. 1
11824 Jos. Campau Ave., Hamtramck, Michigan, U.S.A.

Kmdt. Kamiński Wincenty
Wice Kmdt. Doliński Jan
Wice Kmdt. Bartold Damazy
Adj. Fin. Urban Jan
Adj. Prot. Grabowski Franciszek
Of. Kasowy Rapacki

Dyrekcja:
Niewiada Stanisław
Rynkiewicz Czesław
Koppy Władysław

Chorążowie:
Cupryś Michał
Chabiński Michał

Marszałkowie:
Wojna Seweryn
Bargłowicz Stanisław

ŻOŁNIERZOM ARMII POLSKIEJ

z głębi serca płynące życzenia

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia

składa

POLISH AMERICAN CITIZEN CLUB

Wyandotte, Mich.

Serdeczne życzenia świąteczne żołnierzom polskim składają

Robert Sentkowski z rodziną, 4716 Chene St.
Teresa Jabczeńska, **M. W. Jabczeński**, 1930 W. McNichols Rd. Detroit 3, Mich.
Natalia Roberts, 6200 Colman St. Dearborn, Mich.
Józefa Borowicz z rodziną, 7015 Harper Ave.

Życzenia
od
THOMAS F. PLUTO
3215 Caniff Ave. Hamtramck 12, Mich.

TOWARZYSTWO MATEK I CÓREK Gr. 2756 Z.N.P.
2600 Holmes Ave.
Hamtramck 12, Michigan, U.S.A.
Franciszka Kuśmierczyk
Antonina Markiewicz
Władyslawa Olszyńska

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwego Nowego Roku Żołnierzowi Polskiemu, temu nieugiętemu bojownikowi w walce o wolność Macierzy Polski w największym uznaniu za poniesione trudy i znoje — inwalidom cześć i sokole czołem

RADA OKRĘGU XIII SOKOLSTWA POLSKIEGO W AMERYCE
4130 Junction Ave. Detroit 10, Mich. U.S.A.
Sekretarz: Bronisław Lendo

Radius Tool & Die Co., Inc.
WŁ. THOMAS PRZYGOCKI
11411 Buffalo Blvd. Detroit 12, Mich. USA
Dyr. Stefan Slesiński
„Najlepszym Żołnierzom Rzeczypospolitej na Obczyźnie"

Wesołych Świąt życzy z serca Polskim Żołnierzom na Obczyźnie
A. SKONIECZNY
2321 Caniff Ave., Hamtramck 12, Mich.

FEDERATED EXPORT & IMPORT CO.
2299 East Kirby Street Detroit 11, Michigan USA

E. Konstantynowicz - - President
Fr. Szczepański - - - Vice-president
A. Wojsowski - - - Secretary
S. Nycek - - - Treasurer

Serdeczne życzenia świąteczne
ślą polskim żołnierzom na tułaczce
Państwo Obremscy
właściciele
CHOPIN CAFÉ
7164 Michigan Ave., nar. Chopin Detroit 10, Mich.

KLIMSZA PRODUCTS
Pokrycia dachów, obicia domów, roboty blacharskie, furnesy, farby, przybory do gospodarstwa domowego
Centrala:
8625 Jos. Campau Ave., Hamtramck 12, Michigan, USA
Składy:
3826 Holbrook Street, Hamtramck 12, Michigan, USA
Ph. Tr. 1—0252

Z okazji świąt Bożego Narodzenia składa staropolskim zwyczajem z serca płynące życzenia
JOS. KACZMAREK
Biuro Realnościowe i Asekuracyjne
2936 Hobrook Ave. Hamtramck 12, Mich.

MR. & MRS. JÓZEF i ANNA CZOPIK
Właściciele polskiej restauracji „Warsaw Bar"
5211 Chene Street Detroit 11, Michigan, USA

Łamiąc się z Wami opłatkiem, Kochani Żołnierze, łączymy się sercem i duszą w tej radosnej chwili — śląc Wam życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku

---

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia serdeczne życzenia żołnierzom Armii Polskiej na obczyźnie składa
STEFAN MARKIEWICZ
właściciel
JEANNETTE BRIDAL SHOP
7123 Michigan Ave. Detroit 10, Mich.

Życzenia świąteczne zasyła polskim żołnierzom
Dr. A. JÓZEFCZYK
Dentysta chirurg
11419 Jos. Campau Hamtramck 12, Mich

Życzenia świąteczne żołnierzom polskim od
JAX BAR
J. BORES i A. ZAJKOWSKI
właściciele
10339 Conant Ave. Hamtramck 12, Mich.

Z serca płynące życzenia żołnierzom Armii Polskiej na obczyźnie składają właściciele polskiej pracowni futer
GALLAGHER FURS
12345 Gallagher St. Detroit 12, Mich.

WŁADYSŁAW SKIBA,
właściciel sklepu spożywczego
5144 Grandy Ave. Detroit 11, Michigan, USA

Serdeczne Życzenia Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwszego Nowego Roku

składa

FRANK JAWORSKI

SAUSAGE CO.

2933 Trowbridge Ave. Hamtramck 12, Mich.

Tym, którzy walczyli „Za Waszą i Naszą Wolność" śle wyrazy najserdeczniejszych życzeń świątecznych
ALEKSANDER ZALESKI
właściciel składu spożywczego
7109 Michigan Ave. Detroit 10, Mich.

Kolegom broni serdeczne życzenia przesyła — stary weteran
JAN R. BISIŃSKI
właściciel Ogródka Piwnego:
GDYNIA CAFÉ
11600 Michell St. Hamtramck 12, Mich

ROMANCE BRIDAL SALON
Salon Piękności dla Pań
10023 Jos. Campau Ave. Hamtramck 12, Mich.

JASIŃSKI i NOWAKOWSKI
Biuro Asekuracyjne - Karty Okrętowe
10301 Jos. Campau Ave. Hamtramck 12, Mich.

A. GADOWSKI
Apteka
3139 Davison Ave. Detroit 12, Mich.

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwszego Nowego Roku
MARIAN GREFF Sklep Spożywczy
12344 Charest St. — Detroit 12, Mich.

PACZKI DO POLSKI

MAJĄ TYLKO WÓWCZAS WARTOŚĆ, JEŻELI ZAWIERAJĄ ARTYKUŁY NAJBARDZIEJ POSZUKIWANE W KRAJU I JEŻELI SĄ WYSYŁANE NATYCHMIAST

Brytyjsko-Dominialna Firma Exportowa EUROPEAN & OVERSEAS SERVICE CO., LTD., wysyła przeszło 100 typów paczek z żywnością, odzieżą, lekarstwami, kosmetykami i papierosami. Wszystkie artykuły są najlepszej, gwarantowanej jakości i przedstawiają wysoką wartość rynkową w Polsce oraz w innych krajach europejskich.

Przyjmujemy zamówienia m.in. na następujące paczki :

ODZIEŻ

Paczka „CL": para półbucików damskich, dwie pary bielizny wełnianej, płaszcz granatowy z dobrego, trwałego sukna **£6.12.0**

Paczka „CM": para półbucików damskich, para bucików damskich, cztery pary pończoch, dwie pary bielizny wełnianej, dwie pary bielizny z tricotiny jedwabnej, pullover czysto-wełniany, płaszcz wełniany na podszewce **£10.17.0**

Paczka „CN": para bucików (dla chłopca lub dziewczynki lat 8-15), trzy pary pończoch wełnianych, dwie pary bielizny wełnianej, płaszcz ciepły kroju sportowego na podszewce ... **£8.5.0**

Paczka „CO": 2,5 metrowy kupon materiału czysto-wełnianego (2,75 yds.) na płaszcz dla kobiety **£7.18.0**

Paczka „CP": suknia damska z długimi rękawami, wełniana, szal czysto-wełniany, para rękawiczek wełnianych, spódniczka wełniana **£12.4.0**

(Wszystkie artykuły są nowe, w doskonałych gatunkach.)

ŻYWNOŚĆ

Paczka „FA": 7,5 funta kawy, 2,5, f. herbary, 5 f. kakao, 100 past. witaminowych leczniczo-odżywczych **£4.10.0**

Paczka „FB": 3,5 f. kawy, 3 f. herbaty, 2 f. kakao, dwie jednofuntowe puszki konserw mięsnych (cielęcina i szynka), dwufuntowa puszka jamu śliwkowego, 2 f. owoców suszonych, 2 puszki konfitur, 195 past. witaminowych leczn.-odżywczych **£5.15.0**

Paczka „FC": 2,5 f. kawy, 1 f. herbaty, 1 f. kakao, dwie jednofuntowe puszki konserw mięsnych, jednofuntowa puszka jamu agrestowego, jednofuntowa puszka mieszanki odżywczej, 2 f. suszonych owoców, 2 puszki konfitur, 2 f. mieszanki czekoladowo-owocowej, 1 f. cukierków, 1 f. czekolady, 100 past. witamiowych leczn.-odżywczych **£6.5.0**

Paczka „F19": 2 f. cukierków, dwufuntowa tabl. czekolady **£1.12.0**

Paczka „F21": dwufuntowa tabl. czekolady, 1 f. cukierków, 2 f. toffees, dwufuntowe pudełko czekoladek **£4.8.0**

LEKARSTWA

Paczka „M1": Kompletne wyposażenie apteczki „First Aid Kit" (m.in. Ichthyol, Zinc, Bor. bandaże, Palooplast, Pyramidon, Aspiryna, Carbo, Luminaletts, krople Valeriana, krople Ynosemzowa, wata, etc.) **£4.0.0**

Paczka „M2": vitaminy A, B, C, D (m.in. Halidogin, Bepriman, Bevitex, Cereon, Desterol Calcium) **£3.19.0**

Paczka „M3": niezbędne wyposażenie medyczne dla niemowląt (m.in. Fissan ointment, Fissan baby powder, Sedipyryn, Halidagin-vit. A, B) **£2.2.0**

Paczka „M4": witamy i odżywki dla dzieci (m.in. Abioxyl, Sulphabic Calcium, Chocolad, Halidaginvit A, D, Dinoform, Pyrazorin) **£3.5.0**

Paczka „M5": toniki wzmacniające (m.in. Nevroton, Ferro, Strycodyl) **£3.1.0**

Paczka „M6": lekarstwa na dolegliwości nerwowe (m.in. Valubromin, Brom Bio Calcium, Tamarsan Tea) **£3.12.0**

Paczka „M7": lekarstwa przeciw zaziębieniom (m.in. Assialgan, Caspinol, Ephderin, Zoriflavin, Abitrene, Caseine) ... **£3.12.0**

Paczka „M8": lekarstwa przeciw bronchitom (m.in. Codein Calcium, Hillspulmin, Tuss Ex. Antiphlogisticum, Capsicum) **£2.11.0**

Paczka „M9": lekarstwa na dolegliwości żołądka (m.in. Normacen, Hillcarbon, Tamarsan Tea) **£1.18.0**

Paczka „M10": lekarstwa na przewlekłe dolegliwości żołądka (m.in. Gastrabic, Magn. Peroxyd. Optalgin) **£1.19.0**

Paczka „M13": lekarstwa przeciw biegunce (m.in. Sulphaguadine, Carbitren, Spasmozorin) **£2.3.0**

Paczka „M12": lekarstwa na choroby serca (m.in. Digitale liquid, Camphamin, Procardin Calcium) **£2.4.0**

Paczka „M13": lekarstwa przeciw astmie (m.in. Asthmin, Phylliran, Tamarsan Asthma cure) **£3.17.0**

Paczka „M14": lekarstwa przeciw reumatyzmowi (m.in. Aspiphan, Extraphanyl, Codisal, Margol, Tamarsan Tea Rheumaticum) **£3.16.0**

Paczka „M15": lekarstwa na dolegliwości pęcherza moczowego (m.in. Sulphothionine, Urcosalin, Optalgin) **£3.1.0**

Paczka „M16": lekarstwa przeciw hemoroidom (m.in. Rectozorin, Alpholin, Hillnodin) **£2.4.0**

Paczka „M17": PENICILLINA, 20 grs., WYSYŁANA JAKO PRZESYŁKA EXPRESSOWA-LOTNICZA **£1.19.0**

Paczka „M18": lekarstwo na czyraki (Furunculosis) (m.in. Abitrene Caseine, Yeast medicin) **£2.18.0**

Paczka „M19": HORMONY (m.in. Destropur, Homosteron Tevacliman) **£5.18.0**

Paczka „M20": środki znieczulające bóle i przeciwgorączkowe (m.in. Alginal, Pyramidon, Codisal, Aspiryn) **£1.19.0**

PAPIEROSY

Paczka „TA": 250 sztuk papierosów luksusowych, large size **£2.16.0**

Paczka „TB": 100 szt. papierosów egipskich **£3.19.0**

Paczka „TC": 2000 papierosów egipskich, w doskonałym gatunku (waga 5 kg.) **£12.10.0**

KOSMETYKI

Paczki zawierają komplety przyborów kosmetycznych, jak woda kolońska, shampoo, pasty i szczotki do zębów, żyletki, mydła do golenia i toaletowe, pudry, pomadki do ust.

Paczka „Z1": dla mężczyzn, z przewagą kremów, mydeł **£2.5.0**

Paczka „Z2": dla kobiet, z Lavendą **£2.3.0**

Packa „Z3": dla kobiet, z Vogue Eau de Cologne ... **£2.4.0**

Paczka „Z4": dla mężczyzn, z J. M. Farina **£2.2.0**

Paczka „Z5": dla kobiet, z przewagą pudrów, kremów i szminek **£2.6.0**

Paczka „Z6": łącznie z maszynką do golenia **£3.2.0**

Wszystkie nasze paczki są ubezpieczone i wysyłane niezwłocznie po otrzymaniu zamówienia. Każda osoba może zamówić dowolną ilość paczek. W cenach wliczone są koszty ubezpieczenia, opakowania i wysyłki. Wykaz naszych innych paczek i szczegóły zawarte są w prospektach, które wysyłamy na żądanie. Zamawiając paczki odzieżowe prosimy o podawanie szczegółów dotyczących osób, dla których paczki są przeznaczone (wzrost, ew. wymiar obuwia, etc.)

Zamówienie, łącznie z opłatą w Postal Orders, Money Orders lub w gotówce należy adresować do Firmy:

EUROPEAN & OVERSEAS SERVICE COMPANY, LTD.

(PARCELS BRANCH)

40, OVINGTON STREET, LONDON, S.W.3

(Oddziały Firmy w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Afryce Południowej i w Palestynie)

Czytajcie „Polskę Walczącą" — Ogłaszajcie się w „Polsce Walczącej

ŻYWNOŚĆ I ODZIEŻ DO POLSKI

Uwzględniając potrzeby Kraju, widząc jakie produkty w Polsce są najbardziej poszukiwane tak pod względem wartości rynkowej jak wymiennej, rozszerzyliśmy sieć naszych Agentur na Dominia i Kolonie Brytyjskie.

Przez nasz Oddzial w Kanadzie i Agentury w innych Krajach wysyłamy obecnie paczki:

Nr. 1. — 2 funty kawy, 1 funt herbaty, 1 funt kakao, 1 funt tłuszczu lub mydła **cena £2.5.0**

Nr. 2. — 3 funty kawy, 1 funt herbaty, 2 funty kakao, 2 funty tłuszczu lub mydła 200 pastylek witaminowych ... ... **cena £3.10.0**

Nr. 3. — 5 funtów kawy, 2½ funta kakao, 2½ funta mydła, 2½ funta tłuszczu, 1 funt herbaty, 300 pastylek witaminowych ... ... **cena £5.5.0**

Nr. 4. — 1 para obuwia męskiego, 2 pary skarpet wełnianych ... ... **cena £4.0.0**

Nr. 5. — 1 para obuwia damskiego, dwie pary pończoch ... ... **cena £3.15.0**

Nr. 6. — 1 para obuwia dziecinnego do lat 13, dwie pary pończoch wełnianych **cena £2.10.0**

Paczki Nr. 4, 5, 6 — zawierają obuwie nowe w dobrych gatunkach.

Nr. 7. — 300 sztuk papierosów w najlepszych gatunkach, wysyłane z W.Brytanii w paczkach po 50 sztuk ... ... **cena £3.10.0**

Nr. 12. — 5 funtów kawy, 2½ funta herbaty, 2½ funta kakao ... ... **cena £3.10.0**

Nr. 14. — 7 funtów kawy, 2 funty tłuszczu ... ... **cena £4.0.0**

Nr. 15. — 150 sztuk papierosów Virginia ... ... **cena £1.5.0**

Nr. 16. — Płaszcz damski, czysto wełniany, z kapturem, doskonały do noszenia na prowincji i w mieście, para rękawic skórzanych na futrze, 5 funtów kawy, 2½ funta kakao. **cena £6.0.0**

Nr. 17. — Okrycie wełniane damskie, b. ciepłe, nowe, para rękawic skórzanych na futrze, 5 funtów kawy, 2½ funta kakao ... ... **cena £5.15.0**

Nr. 18. — 3½ mtr. wełny, kolor khaki, na ubranie męskie lub kostium damski **cena £5.0.0**

Nr. 19. — 3½ mtr. wełny w najlep. gatunku, kolor na żądanie, na ubr. męskie lub kostium damski ... ... **cena £7.5.0**

Na życzenie naszych Klientów, wobec zbliżającej się zimy uzyskaliśmy również możność wysyłki innych artykułów odzieżowych, które są do obejrzenia w naszym składzie. Artykuły te są wysyłane z W. Brytanii natychmiast, zaś produkty spożywcze z Dominiów. Kombinowane paczki żywnościowo-odzieżowe są w ograniczonej ilości.

Zainteresowani zechcą się zwrócić do nas po katalogi oraz szczegóły, które wysyłamy odwrotnie.

Wszystkie nasze paczki są ubezpieczone i wysyłane pocztą poleconą. Wysyłka paczek w terminie dwóch tygodni od dnia zlecenia.

Zamówienia w języku polskim lub angielskim proszę przesyłać wraz z opłatą do naszego biura.

NEWTON P. P. COMPANY LTD.

(RELIEF COMMERCIAL DEPARTMENT)

25, Lowndes Square, London, S.W.1

Firma zastrzega sobie możność zmiany niektórych produktów kolonialnych, z tym że ich wartość rynkowa nie może być niższa.

HERBATĘ KAWĘ, KAKAO, CZEKOLADĘ

w dużych ilościach zawierają nasze paczki wysyłane do Kraju
Nr. 18. 1 kg. herbaty, 2 kg. kawy, 2 kg. kakao £4 15s. 6d.

Wysyłamy również paczki:

Nr. 1 — wagi 10 funtów: kawa, kakao, czekolada, herbata ... **Cena £4. 5.0**
Nr. 4 — wagi 10 funtów: cukier, miód, kawa, kakao ... ... **Cena £3.18.6**
Nr. 6 — wagi 9½ funtów: kawa, kakao, miód, ser, mleko w proszku i skond., papierosy, marmelada, ananas, herbata ... ... **Cena £4. 0.0**
Nr. 19 — 1 kg. kawy, 1 kg. kakao i ½ kg. herbaty ... ... **Cena £3.12.6**

Nasz dział wysyłki nowych materiałów wełnianych obejmuje 20 rodzajów mat. w doskonałych gatunkach.

W cenie paczek zawarte są wszystkie koszta wraz z ubezpieczeniem. Żądajcie pełnego cennika 20 innych paczek żywnościowych, 27 lekarstwowych, oraz na nowe materiały męskie i damskie.

Zamówienia wraz z Postal Order, Money Order, gotówką, czekiem do:

PIERWSZE POLSKIE BIURO ZLECENIOWE

LONDON & ABROAD COMMISSION AGENCY LTD.

10, ARGYLL STREET, OXFORD CIRCUS, LONDON, W.1

Biuro czynne od 12 do 2 i od 4 do 5.

Kierownik: K. D. Kopczyński. Tel. GER 8722

OKAZJA

10 FUNTÓW ŻYWNOŚCI ZA £1.1.0

Firma **BRITISH OVERSEAS SUPPLY CO. LTD.** wysyła do Polski i innych krajów paczki żywnościowe, zawierające najbardziej użyteczne produkty po zniżonych cenach.

Paczka Typu „B" WAGA — 10 lb. CENA — £1.1.0.

zawartość: puszka szynki 1¼ lb., puszka dżemu 1¾ lb., mąka pszenna 2½ lb., puszka sera śmietankowego 1 lb., suszone owoce w cukrze 1 lb., rodzynki 1 lb., kakao 1 lb., galareta owocowa ½ lb., pieprz ¼ lb.

Paczka Typu „C" WAGA — 9¾ lb. CENA — £1.4.0.

zawartość: puszka szynki 1¼ lb., puszka dżemu 1¾ lb., puszka sera śmietankowego 1 lb., rodzynki 1 lb., galareta owocowa ½ lb., wonne korzenie ¼ lb., pieprz ¼ lb., kakao 1½ lb., kawa ½ lb., puszka miodu 2 lb.

Firma gwarantuje za najlepszą jakość towarów, paczki są pakowane przez specjalistów i całkowicie ubezpieczone przed zaginięciem lub uszkodzeniem. Zgłoszenia listowne wraz z Postal Order, Money Order lub czekiem kierować do

BRITISH OVERSEAS SUPPLY CO. LTD.

4/1, Squitchey Lane, Oxford, England

ŻĄDAĆ PROSPEKTÓW

PACZKI STANDARTOWE DO POLSKI

Firma G. BUCKNALL & CO., 14, York Street, London, W.1.
(obok Baker Street)

Wysyłamy paczki do Polski zawierające towar używany, ale w doskonałym stanie, prawie nowy:

Nr. 1a	**Płaszcz męski zimowy** w wysokim gatunku ...	£2 10 0
Nr. 1b	**Płaszcz męski zimowy** granatowy z ciepłą podszewką	£2 0 0
Nr. 2	**Ubranie męskie:** marynarka i spodnie bez kamizelki	£4 5 0
Nr. 3	**Kurtka robotnicza** z grubego sukna granatowego, wysokiej jakości (wzór: kurtka polskich tramwajarzy)	£1 8 0
Nr. 4	**Kostium damski granatowy** prawie nowy (wzór: oficer wojsk kobiecych) ...	£2 0 0
Nr. 5	**Kostium damski granatowy** (wzór: ATS lub NAAFI)	£1 10 0
Nr. 6	**Płaszcz jesienny damski**	£1 13 0
Nr. 8	**Koc** w dobrym gatunku: jeden	£1 5 0
	dwa w jednej paczce ...	£2 0 0
No. 10	**Ubranie robotnicze** ciepłe granatowe: spodnie, marynarka, kamizelka z długimi rękawami ...	£3 0 0

Z gwarancją za jakość towaru i niezwłoczną wysyłkę. Cena paczki obejmuje opakowanie, opłatę pocztową i przesłanie zamawiającemu dowodu pocztowego.

LOS CZŁOWIEKA

zależy od ośmiu gruczołów

(ODMŁODZENIE GRUCZOŁÓW DOSTĘPNE JEST DLA KAŻDEGO)

WIEDZA WSPÓŁCZESNA zaznajomiła nas z istotą życia — z Gruczołami. Odmładzanie gruczołów otwiera nowe horyzonty we wszelkich dziedzinach życia. Faktem jest, że cechy zarówno umysłowe jak i fizyczne, wzrost, waga, usposobienie, zależne są od gruczołów **wewnętrznego wydzielania.** Funkcje gruczołów są od siebie niezależne, a razem wzięte tworzą cały system. Wydzieliny gruczołowe docierając przez system krwionośny do ośrodków energii umysłowej, fizycznej i płciowej, rządzą ich przejawami.

WIEK CZŁOWIEKA jest „wiekiem jego gruczołów". Żywotność i samopoczucie zależą od jakości i zrównoważonego przypływu tych wydzielin. Tylko wtedy osiągamy pełnię sił, gdy gruczoły funkcjonują prawidłowo. Słabość jest wynikiem wadliwej równowagi lub niewystarczającej ilości wydzielin, te jednak mogą być uleczone przez Hormonoterapię.

PRZEDWCZESNE STARZENIE SIĘ, utrata energii i żywotności, osłabienie, zmęczenie, bezsenność, brak apetytu, bóle i ogólne niedomagania, osłabienie wzroku, wypadanie włosów, nerwowość, neurastenia, wyczerpanie umysłowe, nerwica żołądka, częściowy lub całkowity zanik sił męskich — wszystkie te symptomy dowodzą, że organizm przestał sprawnie pracować na skutek braku równowagi lub niestarczającej ilości wydzielin, co może być łatwo usunięte za pomocą Hormonoterapii.

HORMONOTERAPIA, czyli leczenie gruczołowe, jest wiedzą, polegającą na odmładzaniu gruczołów. Działanie jej polega na wznawianiu sił żywotnych nie drogą sztucznej podniety lecz przez docieranie do źródła niedomagań fizycznych, umysłowych, nerwowych i płciowych. Hormonoterapia przywraca pełnię sił utraconych na skutek chorób, wieku lub nawet chronicznego osłabienia.

DLA KOBIET stosowanie Hormonoterapii okazało się zbawiennym w leczeniu wielu zaburzeń organicznych, towarzyszących wiekowi przejściowemu.

JAK ZACZĄĆ ŻYCIE NA NOWO. British Grandular Products pragnie służyć swą wiedzą i długoletnim doświadczeniem. W razie rozpoznania któregokolwiek z powyżej opisanych niedomagań, a szczególnie w wypadkach, gdy próby innych metod zawiodły, prosimy zwrócić się do nas. Wiemy, że możemy pomóc w odzyskaniu równowagi umysłowej, fizycznej i odzyskaniu męskości. Wiemy, gdyż pomogliśmy już wielu tysiącom. Prosimy wypełnić poniższy kupon i załączyć znaczek poczt. za 3d. a prześlemy naszą broszurę p.t. **„ISTOTA ŻYCIA".**

BRYTYJSKIE WYTWORY GRUCZOŁOWE

Do British Glandular Products, Ltd. (PWP. 711), 35, Albemarle St., London, W.1.

Proszę o nadesłanie mi, bez zobowiązania: broszury p.t. „ISTOTA ŻYCIA" (znaczek poczt. za 3d. załączam) lub 100 TESTRONES Brand Tablets dla mężczyzn, 100 OVERONES Brand Tablets dla kobiet, załączam 10/-

(niepotrzebne skreślić)

NAZWISKO ....

ADRES ....

....

WCIERAJ ELLIMAN'S EMBROCATION



Usuń BÓL

Od pokoleń niezliczone ilości cierpiących cieszą się ulgą w bólach jaką zapewnia użycie Elliman's Embrocation. Polegają na tym na całym świecie cierpiący na

REUMATYZM LUMBAGO
ISCHIAS ZDRĘTWIENIA, etc.

SPADOCHRONIARZ NA CHOINCE

Nie znałem „Halifaxa“ z lotów ćwiczebnych, ani nie widziałem go nigdy z bliska, ale gdy przed startem stanąłem pod jego potężnymi skrzydłami, nabrałem doń zaufania. Taki olbrzym na pewno doleci do celu.

Po wejściu do kabiny *dispatcher* wskazał nam miejsca i zalecił wypoczynek. Gdy wystartowaliśmy objaśnił, że będziemy kilka godzin lecieli nad morzem, widok będzie mało pociągający, szkoda więc tracić czas, lepiej się wyspać przed wysiłkiem, jaki nas czeka. Próbowaliśmy to zrobić, niestety uniemożliwił to sam wnioskodawca. Ruchliwy i pyskaty — rodem ze Lwowa — nie mógł ani usiedzieć na miejscu, ani milczeć. Wesół, pełen humoru, opowiadał lwowskim akcentem najrozmaitsze przygody lotnicze. Między innymi dowiedzieliśmy się, że załoga leci nad Polskę po raz pierwszy, że już wprawdzie dokonywała zrzutów, ale tylko nad Francją i Norwegią.

— „W tamtych krajach nie szukaliśmy placówek odbiorczych, zrzucaliśmy skoczków na rejon. Teraz po raz pierwszy mamy wypatrzeć placówkę i wolno nam zrzucać tylko na jej sygnały świetlne. Ale nie ma obawy — znajdziemy ją“.

Loty nad Francją były mało atrakcyjne, natomiast zrzuty nad Norwegią były ciekawsze. Szczególnie bawiło go, że Norwegowie zrzucani w górach, skakali zawsze z nartami. — „I co za naród“ — mówił — „podczas opadania na spadochronach przypinali czasem narty do nóg, żeby mieć łagodniejsze spotkanie nie tyle z ziemią, co ze śniegiem“.

Moi towarzysze z ekipy pragnęli jednak dowiedzieć się czegoś praktycznego, docisnęli go więc, by wyjaśnił wszystkie techniczne szczegóły skoku, ażeby w ostatniej chwili nie powstało jakieś nieporozumienie. Obejrzeli światła sygnalizacyjne, spenetrowali dziurę do skoku i td. Wreszcie *dispatcher* także znudził się opowiadaniem i zabrał się do jakichś technicznych czynności. Korzystając z tego skoczkowie, zeszli na aktualne dla nas tematy.

„Sód“ szef ekipy, spokojny i opanowany, inżynier z zawodu, widać sumienny i obowiązkowy, raz jeszcze skontrolował, czy chłopcy nie zapomnieli haseł i adresów kontaktowych. Jeszcze raz powtórzył wskazówki wydane na stacji odlotowej, jak należy postępować po skoku.

„Janek“ i „Frog“, młodzi chłopcy, jednak zrównoważeni i opanowani, robili bardzo dobre wrażenie. Przyglądałem się im i starałem się ich „rozgryźć“, gdyż nasza znajomość trwała zaledwie dwa dni. Układali plany, jak postąpią po przybyciu do Kraju. Czy i kiedy będzie można spotkać rodziny, co to będzie wówczas za radość. Janek miał siostrę młodszą od siebie, osamotnioną po stracie rodziców, będzie więc musiał nią się zaopiekować. „Frog“ cieszył się na myśl o zobaczeniu matki-staruszki, która oczywiście nie spodziewała się go w tej chwili zobaczyć.

Tymczasem *dispatcher* obwieścił nam, że zbliżamy się do brzegów Danii. Zaciemnił wszystkie światła, usadowił nas przy okienkach i odsłonił je.

Dopiero po chwili, gdy wzrok przyzwyczaił się do nowego oświetlenia, mogłem zorientować się w krajobrazie. Maszyna sunęła miarowo i równo na niedużej wysokości, nie wyżej, niż 100 metrów nad poziomem morza. Ciemna tafla wody, pokryta jaśniejszymi kryżami fali, odcinała się od linii brzegu, ukazującego się coraz to wyraźniej. Gdy znaleźliśmy się nad plażą, piasek rozbłysł w świetle księżyca, dając bardzo silne refleksy. Było jasno niemal, jak w blasku słonecznym.

Maszyna wykonała ostry wiraż i przyjęła inny kierunek. Nie orientowaliśmy się w tych manewrach, dopiero *dispatcher* wyjaśnił nam, że robimy to w tym celu, by zmylić ewentualny podsłuch i że nad lądem przez cały czas będziemy kluczyć, by nie dozwolić przeciwnikowi na wytyczanie kierunku lotu.

Zależnie od położenia towarzyszył nam widoczny z boku potężny cień naszej maszyny, rysujący się wyraźnie na terenie jasno oświetlonym przez księżyc. Nigdy przedtem nie wyobrażałem sobie, że oświetlenie księżyca daje przy obserwacji z góry tak ostre zarysy.

Trasa stawała się coraz to bardziej urozmaicona. Przelatywaliśmy nad uprawnymi polami. Ich regularne działki obramowane były wyraźnymi liniami szos, kanałów i rzek. Większe miasta omijaliśmy zygzakami, natomiast przelatywaliśmy ponad wielu wioskami i osiedlami. Gdyby nie wzorowe zaciemnianie można by bez mała zaglądnąć mieszkańcom do wnętrza ich domostw, gdyż dosłownie lecieliśmy ponad dachami. Ale czy dyscyplina była zbyt mała, czy przemagała ciekawość, od czasu do czasu w niektórych oknach ukazywały się drobne rąbki światła.

W jednej z miejscowości odczytaliśmy godzinę na zegarze umieszczonym na wieży kościelnej, jasno oświetlonej blaskiem księżyca. Dochodziła 22.00.

Przelatując nad szosami, widzieliśmy rowerzystów i pieszych przechodniów. Widać było, jak zaskoczeni pojawiającym się z nienacka samolotem i hukiem jego czterech potężnych motorów, zatrzymywali się i prawdopodobnie po rozpoznaniu znaków brytyjskich dawali jakieś znaki rękami, co robiło wrażenie powitania.

Ale mieliśmy też widoki nieco groźniejsze. Oto, już z dala widać szereg okrągłych, dużych okopów, rozmieszczonych równomiernie. To niewątpliwie baterie przeciwlotnicze. Przytuleni nosami do szyby okienka z ciekawością, ale i z drżeniem serca wypatrywaliśmy, czy nam coś grozi z ich strony.

Widok jest emocjonujący. Obsługa baterii musiała zostać zaalarmowana dopiero w ostatniej chwili. Część jej jest już przy działach, pozostali kanonierzy biegną na złamanie karku ze schronów leżących opodal. Pada jakaś komenda (której oczywiście w maszynie nie słyszymy), gdyż obsługa staje w postawie na baczność. Po chwili padają następne komendy; obsługa rozbiega się w szalonym pędzie do najrozmaitszych czynności i wykonuje je w zawrotnym tempie, zgodnie z rytmem komendy. Widać jak lufy dział zwracają się kolejno w naszym kierunku. Ale szybkość przelotu naszej maszyny na tej wysokości nad stanowiskiem baterii jest tak duża i jej pozostawanie w polu ostrzału tak krótkie a kąt dla oddania strzału tak ostry i zmienia się z tak błyskawiczną szybkością, że nawet pomimo niezwykłej sprawności obsługi, bateria nie doszła do głosu. A może i strzały padły, ale za późno, gdyż już nie ujrzeliśmy ognia wylotowego z luf baterii.

Przelot nad Danią nie trwał zbyt długo. Kopenhagę pozostawiliśmy po naszej prawej stronie, omijając ją od północnego wschodu. Jasne snopy światła już z dala widoczne zwiastowały nam zbliżanie się do brzegów Szwecji, jednego z niewielu szczęśliwych w tym czasie krajów, nie znających zaciemnienia. Przyglądnęliśmy się ruchowi w porcie i na molach w Malmö — w pełni świateł. Nie zbliżaliśmy się jednak zbyt blisko brzegów, by nie naruszyć wód terytorialnych.

Przelot nad Bałtykiem minął bez wrażeń. Widoczne z dala dość liczne, lecz blade światełka pokładowe na na statkach odbywających podróż — gasły w miarę zbliżania się naszej maszyny. Świnoujście ominęliśmy od północy i wkrótce maszyna zahybotała się, dając znak, że znaleźliśmy się z powrotem ponad lądem stałym.

Z namaszczeniem oczekiwaliśmy chwili, kiedy znajdziemy się nad Polską. Niestety nie dało się wypatrzeć żadnych znaków, które mogłyby nam to wskazać.

Dispatcher, który od czasu do czasu zaglądał do kabiny nawigatora, komunikował nam po powrocie punkty terenowe, nad którymi przelatywaliśmy. W miarę zbliżania się do Wisły wzrastało podniecenie i niepokój przed czekającym nas skokiem. Wreszcie *dispatcher* oznajmił, że trzeba sadowić się nad dziurą, gdyż za kilkanaście minut znajdziemy się u celu.

Zajęliśmy miejsca w skupieniu. Rozmowy dotąd prowadzone normalnym głosem, teraz przeszły w szept. Odruch może podświadomy, może spowodowany chęcią wczesnego przygotowania się do tego sposobu bycia, jaki za chwilę trzeba będzie zastosować na ziemi. „Sód“ jeszcze raz skontrolował znajomość haseł, przypomniał wydane poprzednio wskazówki. Wesoły Lwowianin przymocował taśmy od spadochronów. Byliśmy gotowi.

Po chwili po otrzymaniu przez domofon jakichś zleceń od dowódcy załogi *dispatcher* — otworzył klapę, przykrywającą dziurę w podłodze kabiny. Uderzył w nas zimny i przejmujący powiew wiatru. Czy to dreszcz spowodowany zimnem, czy wrażeniem? Jakże dziwnie drżą kolana a szepty nasze, chociaż wypowiadane z nienaturalną pewnością siebie, i one ulegają jakimś niezwykłym drganiom. Tak, to niewątpliwie wrażenie wywołane świadomością, że za chwilę nastąpi akt, do którego sposobiliśmy się tak długo: skok — i spotkanie z ziemią ojczystą.

Przycupnęliśmy do podłogi kabiny mocno — dłonie silnie wsparte wzdłuż uda. *Dispatcher* co chwilę przyjmuje jakieś zlecenia przez domofon, składa jakieś meldunki. Uwaga napięta jest do maksimum. Zmysły wyostrzone. Umysł nie pracuje już zupełnie. Za chwilą staniemy się automatami, ale nie bezwolnymi. To właśnie wola będzie musiała przejść za chwilę najwyższą próbę sprawności.

Rejestruje się wszystkie zjawiska zachodzące wokół z dziwną wyrazistością. Nie wolno stracić ani jednego ułamka sekundy: wpatrzeni w *dispatchera* czekamy w napięciu na jego magiczne słowo: *„go“*. Chwile jednak dłużą się niesamowicie. Obserwuję współtowarzyszy i staram się przeniknąć ich samopoczucie. Ale stwierdzam, że wszyscy zachowujemy znacznie więcej spokoju, aniżeli podczas skoków ćwiczebnych.

Zapalenie zielonego światełka sygnalizacyjnego zelektryzowało wszystkich. Jednocześnie wszyscy czterej poprawiliśmy automatycznie swoje usadowienie i muskuły napięły się, jak do wysiłku, wymagającego najwyższego ich zespolenia.

Tymczasem ostry wiraż maszyny dał nam znać, że przyjmuje ona właściwy kierunek dla dokonania zrzutu. Potwierdziła to zapowiedź *dispatchera*, który z chwili na chwilę stawał się coraz to bardziej rozgorączkowany.

Szczęk otwieranych klap oznajmił nam zwolnienie zasobników z materiałem. Prawie jednocześnie ukazało się czerwone światełko sygnalizacyjne i przeraźliwy wrzask: *„go“* wprawił całą naszą czwórkę w ruch.

Za „Sódem“ znikającym w czeluściach dziury zsunął się błyskawicznie i sprawnie „Frog“ i mój ześlizg w dziurę udał się lepiej, niż kiedykolwiek. Chwila wątpliwości czy spadochron nie zawiedzie — ta myśl górowała nad wszystkim. Gdy poczułem pewne oparcie w rozpostartej czaszy — doznałem ulgi i pewności siebie.

Doprowadzony tym do równowagi rozpocząłem rejestrowanie i kontrolę zjawisk. Słyszę odgłos uderzających o ziemię zasobników, zrzuconych automatycznie przed naszym zeskokiem. W prawo ode mnie mignęły spadochrony; śledzę je, by móc umiejscowić je w terenie i łatwiej odnaleźć towarzyszy. „Halifax“ po dokonaniu zrzutu nadleciał ponownie wirażem, kontrolując swe dzieło.

Ale niebawem natłok innych, nieoczekiwanych spostrzeżeń odwrócił moją uwagę od tego, co działo się w powietrzu.

Teren wskazany nam na stacji odlotowej, na którym mieliśmy być zrzuceni był mi znany. W miesiącach letnich 1939 r. w tym rejonie — nad Świdrem koło Otwocka — byłem na ćwiczeniach z pułkiem. Okolicę tę przez wiele tygodni przepenetrowałem wszerz i wzdłuż, znałem dosłownie każdą ścieżkę, każde wzniesienie, do dowolnego punktu mogłem trafić z zawiązanymi oczami.

Obserwując okolicę podczas opadania w dół, nabrałem przekonania, że nie zostaliśmy zrzuceni na wybraną placówkę, znaną mi sprzed lat. Na ziemi nikt nie będzie nas oczekiwał.

Nie to jednak było najgorszą, złowróżbną pomyłką. Oto na prawo w nieznacznej odległości miga rząd świateł, zbliżających się w moim kierunku, przeciągły gwizd lokomotywy oznajmia zbliżanie się pociągu niewątpliwie osobowego.

Przy opadaniu w dół, wiatr uderzający w twarz znosił mnie do tyłu, tak, że pole widzenia, ukazujące się spod stóp rozszerzało się bardzo powoli. W miarę opadania, dostrzegłem budynek stacyjny niezbyt duży i paru ludzi kręcących się po nim, tory kolejowe zresztą nieliczne i rząd na pół zaciemnionych latarni stacyjnych. Pociąg jest tuż, tuż, a lokomotywa powtórnie, jakże rozdzierającym nocną ciszę gwizdem daje sygnał wjazdu.

Pomyłka staje się oczywista: nawigator wziął światła stacyjne za sygnały placówki.

Czy nas zauważyli z ziemi? Kto może być o tej porze na stacji? Czy ma ona ochronę wojskową? Czy wobec tych okoliczności chłopcy z ekipy będą czekać na wspólną zbiórkę, czy też każdy na własną rękę będzie szukał wyjścia z nieprzyjemnej sytuacji? W jakiej odległości od stacji wyląduję? Co stanie się z zasobnikami, które niewątpliwie wylądowały w najbliższym jej sąsiedztwie?

Myśli te tłoczą się z błyskawiczną szybkością. Porządkuję je, by trafnie ocenić położenie, powziąć jakiś plan i natychmiast przystąpić do działania na ziemi.

Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się, by trzeba było w tak krótkim czasie zarejestrować tyle zjawisk i ocenić tyle elementów naraz. Opadanie trwało przecież zaledwie kilkadziesiąt sekund i w ciągu tego czasu trzeba było wykonać gorączkową pracę myślową.

Ziemia zbliżała się do mnie coraz szybciej (takie bowiem odwrotne wrażenie odnosi się w ostatniej fazie opadania), całą więc uwagę należało poświęcić teraz na godne jej spotkanie. Do zaobserwowanych komplikacji brakowałoby jeszcze, by jakieś uszkodzenie unieruchomiło mnie tutaj na dłuższą metę. Poprawiłem swe usadowienie w szelkach spadochronu i odpowiednio uchwyciłem za jego sznury, po czym starałem się wykonać zwrot w tył, by znaleźć się twarzą na kierunku lądowania. Chociaż obrót zamierzyłem w porę, w dostatecznej odległości od ziemi, jednak znowu weszły w grę nieprzewidziane przeszkody, czyhające na mnie z tyłu.

Zanurzenie się nóg a później całego ciała w coś kłującego, trzask łamanych gałęzi i przebicie się przez gęstą koronę sosny, wreszcie zawiśnięcie w powietrzu na skutek zaczepienia się czaszy spadochronu o gałęzie — oto był ostateczny efekt i tak już emocjonującej chociaż krótkiej podróży z „Halifaxa“ na ziemię ojczystą.

Nowa, zresztą przykra sytuacja, z której trzeba wybrnąć jak najśpieszniej. Spotkało mnie to, czego zawsze, myśląc o skoku bojowym najmniej sobie życzyłem. Za wiele przeciwności zwaliło się naraz. Czyżby miały one być związane z feralną datą odlotu z Anglii? — wystartowaliśmy dnia 13 marca. Ta pierwsza myśl skojarzyła mi się z wróżbami kolegów z ekipy, którzy przed odlotem snuli na ten temat różne przypuszczenia. A może zła passa wyczerpie wreszcie swój repertuar. Trzeba co szybciej dostać się na ziemię.

Ponowny gwizd lokomotywy, zwiastujący odejście pociągu ze stacji, uświadomił mi złośliwy splot wydarzeń. Po chwili migały już światełka z okien pociągu przejeżdżającego tuż obok. Każdy z pasażerów, gdyby zwrócił wzrok w moim kierunku, musiałby zauważyć białą czaszę spadochronu rozpostartego na koronie najwyższej, masztowej sosny, stojącej na samym skraju lasu.

A jeżeli był to pociąg *„Nur für Deutsche“*? A przecież w każdym innym pociągu było zawsze kilka takich wagonów. Jeżeli obsługa stacji nie zauważyła zrzutu, co jest mało prawdopodobne i nie zaalarmowała jeszcze żandarmerii, to jest to nowa okazja po temu. Nigdy nikomu nie składałem tak szczerych życzeń jak najsmaczniejszego snu, jak w onej chwili — wszystkim niemieckim pasażerom pociągu.

Incydent z pociągiem oderwał moją uwagę od ratowania się z kłopotliwej i zarazem śmiesznej sytuacji. Wisiałem około osiem metrów nad ziemią, uwolnienie się więc od spadochronu i skok z tej wysokości bez jego asekuracji groził pewnym kalectwem. Choinka, na której zawisłem, była bardzo silnie nachylona do wnętrza lasu, zapewne na skutek częstego naporu wiatru, który i mnie zniósł tutaj.

Wysiłki ściągnięcia spadochronu w dół, okazały się bezowocne. Rozległa powierzchnia czaszy i wiązka idących od niej sznurów pozaczepiały się tak silnie o koronę sosny, że o możliwości ześlizgnięcia się nie było mowy. Zbliżyłem się do ziemi o jeden metr niespełna, ale jeszcze była to wysokość zbyt duża, by ryzykować skok.

Próby sięgnięcia przez ruch wahadłowy pnia sosny, by po nim zsunąć się w dół nie dały wyników. Odchylenie korony od linii pnia było za duże a niżej rosnące gałęzie tak przeszkadzały, że nie mogłem ani marzyć, by ten sposób mógł coś pomóc.

Pełen rezygnacji postanowiłem czekać na ewentualną pomoc kolegów z ekipy. Liczyłem, że „Janek“, który skakał jako czwarty i niewątpliwie opadł głębiej w las, jeśli nie spotkała go przygoda podobna do mojej, powinien dążyć na umówione miejsce zbiórki t.j. na nr. 2 do „Froga“. Będzie więc zapewne przechodził w pobliżu. By nie przegapić tej okoliczności, wytężyłem słuch i co jakiś czas półgłosem nawoływałem go umówionym hasłem. Niestety tylko poszum lasu był mi odpowiedzią.

Rozumowałem, że gdyby nawet „Janek“ mnie minął, to jednak po dołączeniu do pozostałych zaczną poszukiwania i możliwe, że mnie odnajdą i udzielą mi pomocy. Czas jednak mijał, las szumiał, na stacji panowała cisza, ja zaś zrezygnowany wisiałem w dość zresztą wygodnej pozycji.

Położenie doprawdy nie do pozazdroszczenia. Po to przebyłem taki szmat drogi, uniknąwszy wszelkich pułapek niemieckiej opl, by znaleźć się o parę zaledwie metrów od ziemi i nie móc jej osiągnąć i to w pobliżu stacji, skąd lada chwila może wyruszyć poszukiwanie. Uznałem, że nie można już dłużej pozostawać bezczynnym i gdy przejechał pociąg z cysternami idący z przeciwnej strony zdecydowałem, że czas najwyższy uwolnić się samemu. W przeciwnym wypadku zdejmą mnie za chwilę Niemcy.

Kombinowałem, że po otwarciu zamka spadochronu i po zwolnieniu szelek opuszczą się one około 1½ metra, gdy się ich uchwycę rękami, to uzyskam jeszcze około metra długości rąk — pozostanie więc jeszcze duże ryzyko skoku, jednak lepsze to, aniżeli pozwolić Niemcom zdjąć się za chwilę z tej choinki, jako prezent przysłany dla nich z Anglii.

Po otwarciu zamka uwalnianie się od szelek, wpijających się pod naporem ciężaru ciała w fałdy kombinezonu, miało zgoła inny przebieg, aniżeli dzieje się to zazwyczaj na ziemi, gdy czasza spadochronu jest „zgaszona“.

Trudno byłoby opisywać wszystkie ruchy i akrobatyczne łamańce, jakie nastąpiły po kolejnym uwalnianiu z szelek ramion i nóg. Uginająca się raz po raz pod naporem wiatru korona sosny wprawiała mnie w dziwny ruch ni to wahadłowy, ni to obrotowy. Wszystko odbywało się na pewno zgodnie z prawami fizyki, ale dzięki ich bezwzględności równowaga zawieszenia stawała się początkowo chwiejna, aż w końcu utraciłem ją całkowicie.

Zsunąwszy szelki z obu ramion i uwolniwszy lewe podudzie, straciłem panowanie nad ruchami i runąłem głową w dół. Zatrzask zamka automatycznego od szelki prawego podudzia przyciśnięty nią do kombinezonu nie zdążył się jednak wysunąć. Szelka obsuwając się wzdłuż nogi zacisnęła zatrzask na kryzie kombinezonu wokół kostki i w ten sposób zawisłem — na jednej nodze głową na dół.

Kilkakrotne szarpnięcie całym ciałem zamiast uwolnienia się powodowało tylko dotkliwy ból kostki a ciężar ciała zaciskał pętlę coraz silniej. Próby dźwignięcia ciała na wysokość punktu zawieszenia, by rękami uwolnić się od pętli — nie powiodły się. Na taki wyczyn mógłby się zdobyć nie lada gimnastyk lub akrobata.

Krew napływająca do głowy, naciągnięcie wszystkich mięśni w nienaturalnym położeniu ciała nieprzywykłego do takiej pozycji odbierało siły z gwałtowną szybkością. Nieuchronnie zbliżała się utrata przytomności. Jeśli to nastąpi, wówczas — skończy się cała przygoda.

Nie było ani chwili do stracenia, ale cóż można było pomóc? Chyba tylko cudowny zbieg okoliczności może mnie jeszcze uratować. O ile koledzy z ekipy odnajdą mnie, pomoc ich może być już spóźniona, ale na pewno znajdą mnie rano Niemcy.

Nie sposób odtworzyć myśli, jakie w podobnej chwili przychodzą do głowy. Cóż jednak pozostawało poza rezygnacją? Odczuwałem żal do załogi „Halifaxa“, że nie odnalazła placówki, że dokonała zrzutu nie tylko w miejscu niebezpiecznym, ale jeszcze do tego na las. Pomstowałem na kolegów z ekipy, że nie śpieszą z pomocą. Wspomniałem słowa wypowiedziane w Londynie przy pożegnaniu: „żebyś tylko doleciał szczęśliwie, wiem, że w Polsce dasz sobie radę“. Tak, można dolecieć szczęśliwie, ale dostanie się do ziemi, odległej o parę metrów zaledwie — okazało się trudniejsze, aniżeli przebycie 1000 mil.

Gdy gwiazdy, które przy wyskoku obserwowałem na niebie, przeniosły się pomiędzy otaczające mnie gałęzie a nawet zaczęły mi migotać w oczach, gdy już nie bardzo rozeznawałem krajobraz, a myśli i rzeczywistość zlały się w koszmarne majaczenie, przy jednym z pochyleń sosny uderzyłem głową o gałęzie rosnącej opodal młodej brzozy. Ocucony tą okolicznością doznałem wpierw obawy, czy i ona nie kryje w sobie nowej zasadzki, ale po chwili oceniłem, że może ona przynieść ratunek. Przecież, gdy uda mi się uchwycić rękami pnia brzozy i unieść ciało w górę, to w ten sposób zwolnię nacisk na pętlę i może zdołam ją rozplątać.

Po kilku wahnięciach w kierunku brzozy uchwyciłem kilka gałązek i przyciągnąłem je do siebie. Pierwsza próba wykonana zbyt gorączkowo nie udała się. Przy powtórnym, wygodniejszym uchwyceniu pnia zorientowałem się, że jest to możliwy sposób ratunku. Pomoc lewej stopy wolnej od uścisku, którą starałem się wypchnąć zatrzask spod szelki okazała się skuteczna. Pętla rozluźniła się i runąłem w dół. Dzięki uchwyceniu się pnia brzozy upadek nie był jednak zbyt gwałtowny.

Cóż może znaczyć najbardziej dotkliwy ból kostki, bezlik potłuczeń, bliskość stacji, możliwość nadejścia Niemców i wszelkie inne zasadzki? Jakże zbladły te przeciwności losu od chwili, gdy poczułem ziemię pod nogami i mogłem się swobodnie poruszać? Ustąpił żal do załogi „Halifaxa“, do kolegów z ekipy, nawet do sosny pomimo, że tak skomplikowała moje spotkanie z ziemią ojczystą.

Gdy, po zakopaniu ekwipunku spadochronowego z dala od miejsca zrzutu, powróciłem i zamierzałem zbadać, co dzieje się na stacji i próbować, czy nie dałoby się uratować zasobników, spłoszył mnie nadjeżdżający szosą oddział motocyklistów. To już zapewne nadjeżdżali zaalarmowani Niemcy, by podjąć niefortunnie dokonany zrzut.

Udałem się więc w las i szczęśliwym zbiegiem okoliczności nad ranem spotkałem wszystkich trzech kolegów z ekipy zdrowych i całych w marszu „na przełaj“ do Warszawy, dokąd przybyliśmy następnego dnia — już bez przygód.

ANTONI HELLER

NASTĘPNY NOWOROCZNY NUMER „POLSKI WALCZĄCEJ“ UKAŻE SIĘ W ZWYKŁEJ OBJĘTOŚCI DNIA 3 STYCZNIA 1947 ROKU

Przegląd tygodniowy

PRZEDŚWIĄTECZNY OPTYMIZM

Zbliża się Boże Narodzenie i nastroje świąteczne zaczynają wyraźnie górować w polityce międzynarodowej. Zmęczone, złaknione pokoju i dobrobytu narody pragną słów kojących i nie chcą wiadomości, któreby wskazywały na trwanie konfliktów i napięć. Mężowie stanu i prasa dostowują się do tego i kładą nacisk na wiadomości dowodzące odprężenia, unikają tematów drażliwych i spornych. Ogólne nastawienie znajduje dosadny wyraz w słowach min. Bevina, że „wschodzi słońce pokoju". Przez parę tygodni — o ile nie zajdą jakieś niespodziewane wydarzenia — panować będzie w świecie pewnego rodzaju „*Treuga Dei*" — Pokój Boży.

Według min. Bevina rezultaty osiągnięte przez „wielką czwórkę" pozwalają obecnie przystąpić do kładzenia fundamentów trwałego pokoju. Jednak fundamentem takim mogą być jedynie zasady wolności i poszanowania prawa a nic w dalszym ciągu nie wskazuje, by zasady te triumfowały.

Nic bodaj nie jest bardziej charakterystyczne dla dzisiejszego stanu moralności międzynarodowej, aniżeli uchwała, jaką Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych powzięło w sprawie Hiszpanii. Jest ona z pewnością bardziej znamienna, niż inne rezolucje, jak np. rezolucja dotycząca zbrojeń czy uchwała w sprawie veta. Nie znaczy to, by miała większe praktyczne znaczenie, w gruncie rzeczy są to wszystko świstki papieru. Ale określa ona doskonale klimat moralny organizacji obradującej w Nowym Jorku.

OBŁUDA I TCHÓRZOSTWO

Jest to klimat obłudy i tchórzostwa. Hiszpanię potępia się za rzeczy, które czynią również inne państwa, a nie są jednak za to potępiane. Od Hiszpanii żąda się kategorycznie urzeczywistnienia programu demokracji politycznej, który jest przez pół tuzina członków ONZ systematycznie deptany. A wszystko to dzieje się dlatego, że Hiszpania jest stosunkowo słaba, podczas gdy Rosja i państwa przez nią chronione są, czy wydają się być, silne.

Nie mamy najmniejszego nabożeństwa dla rządu gen. Franco. Z pewnością nie zasługuje on na sympatię. Z pewnością nie jest demokratyczny. Ale z pewnością także więcej jest poszanowania praw ludzkich w Hiszpanii gen. Franco, aniżeli w Rosji marsz. Stalina, czy w Jugosławii marsz. Tity. W ciągu ostatniego tygodnia, właśnie w czasie gdy w Nowym Jorku odbywał się sąd czy parodia sądu nad gen. Franco, w Polsce komunistyczne komórki terroru szumnie zwane sądami wydały 40 wyroków śmierci ; w Hiszpanii nie zapadł ani jeden.

Jakże określić to ujadanie na Hiszpanię przy jednoczesnym milczeniu o mordach i aresztach w Polsce, o łagrach sowieckich czy zbrodniach „titowców" inaczej, aniżeli jako tchórzostwo ?

I jakże nie napiętnować obłudy uchwalania rezolucji, która grozi dalszymi krokami przeciw Hiszpanii, o ile w szybkim czasie nie powstanie tam rząd reprezentatywny, któryby zapewnił wolność słowa i przeprowadził wolne wybory, jeśli uchwalają ją państwa, mające rządy stokroć mniej reprezentatywne, które ani myślą szanować wolności słowa, a wybory oragnizują według najlepszych wzorów hitlerowskich ?

Doszliśmy do tego, że osławiony przedstawiciel oprawców narodu polskiego Lange wyraża uznanie dla W. Brytanii i St. Zjednoczonych za to, że zgodziły się na tę uchwałę i raduje się z powodu tego „zwycięstwa demokracji".

Taki triumf zakłamania i obłudy nie wróży trwałego pokoju !

NIESPODZIANKA AZERBEJDŻAŃSKA

O ile sprawa Hiszpanii wskazuje na jakie manowce prowadzi uległość wobec Sowietów, to sprawa Azerbejdżanu dowodzi, że stanowczość i mocne postawienie się dają znakomite wyniki. Tak, jak sprawa wygląda w chwili obecnej, Rosja poniosła tu ciężką klęskę zarówno materialną, jak i prestiżową. Jeżeliby Zachód wyciągnął wnioski z tego doświadczenia, znalazłby drogę prowadzącą do naprawdę trwałego pokoju.

Rozwój wypadków w Azerbejdżanie zaskoczył bodaj wszystkich. Przede wszystkim wielu zaczynało już wątpić, czy w ogóle wojska perskie wejdą do Azerbejdżanu : stały przecież na granicy przez szereg dni, podczas gdy rząd wzywał marionetki komunistyczne do kapitulacji. Jeszcze większą niespodzianką było błyskawiczne tempo kapitulacji reżimu komunistycznego, który miał przecież rok czasu na umocnienie się i zorganizowanie. Nienawiść ludności do komunistycznych zdrajców i importowanych z Rosji oprawców była tak wielka, że opór załamał się natychmiast i pozostawała jedynie ucieczka pod opiekuńcze skrzydła NKWD lub odpokutowanie za zdradę.

Największą jednak niespodzianką była bierność Rosji sowieckiej. Powszechnie liczono się z możliwością wkroczenia wojsk rosyjskich dla ochrony komunistycznego reżimu. Tak np. „*The Economist*" przewidywał już nawet debatę w ONZ nad interwencją sowiecką, którą widocznie uważał za pewną. Trudno było oczekiwać, że Rosja nie ruszy palcem w obronie swych pupilów.

Oczywiście trzeba jeszcze odczekać pewien czas, zanim można będzie powiedzieć, że Rosja pogodziła się z faktem dokonanym.

Tymczasem trzeba zanotować zadziwiającą ciszę i jakby zakłopotanie tym sukcesem na Zachodzie. Jeśli np. chodzi o W. Brytanię to z wyjątkiem „*Daily Telegraph*" prasa bardzo mało miejsca poświęciła wydarzeniom w Persji. Co więcej nie było żadnych komentarzy na ten temat.

Czym to tłumaczyć ? Czy i w tym wypadku zatriumfowała chęć unikania, w okresie przedświątecznym zwłaszcza, wszystkiego co wskazuje na konflikty między mocarstwami ? Czy może raczej chodzi o to, by nie cieszyć się przedwcześnie i nie prowokować Rosji do czynnej interwencji przez uwypuklanie, że poniosła ciężką klęskę ? Brytyjczycy umieją być powściągliwi i ukrywać swe uczucia.

W GRECJI ROSJA TEŻ PRZEGRYWA

Porażka w Persji nie jest zresztą jedyną klęską sowiecką ostatnich dni. Można dziś śmiało stwierdzić, że najnowsza ofensywa przeciw Grecji również skończyła się poważnym niepowodzeniem.

Gdy przed kilku tygodniami na pograniczu jugosłowiańskim rozpoczęły się ataki na szeroką skalę i jednocześnie wybuchły walki w różnych częściach Grecji, jasne było, że mamy do czynienia z dokładnie opracowanym planem, zmierzającym do opanowania Macedonii greckiej, oderwania jej od reszty kraju i następnie przyłączenia do Jugosławii. Moskwa liczyła, że Grecja skapituluje, że nie wykaże dostatecznej odporności wewnętrznej, oraz że nie uzyska wsparcia z zewnątrz, gdyż uda się ją zohydzić w oczach Anglosasów jako państwo „reakcyjne".

Tymczasem Grecja wykazała wielką odporność, bandy komunistyczne zostały wyparte tam, skąd przyszły, wewnątrz kraju sytuacja też została opanowana, a jeśli chodzi o postawę Anglosasów, to udzielili oni Grecji pomocy materialnej i moralnej. Ostentacyjne narady wojskowe anglo-greckie, wizyta eskadry amerykańskiej w Pireusie, przyjazd do Aten marsz. Montgomery, a następnie marsz. Smutsa — wszystko to było dla napastników z bloku sowieckiego ostrzeżeniem, że Grecja nie będzie pozostawiona na łasce losu.

W rezultacie „niewypowiedziana wojna", chwilowo przynajmniej, wyraźnie ustała. Nie ma ataków na pograniczu, bandy siedzą cicho, nie nastąpiło zapowiadane zerwanie stosunków jugosłowiańsko-greckich. W tym wypadku, jak w każdym innym, metoda stanowczości i nieustępliwości okazała się jedyną właściwą.

ULTIMATUM DO ALBANII

Będzie teraz rzeczą interesującą obserwować, jak się rozwinie inny konflikt w tym rejonie, a mianowicie sprawa min albańskich. W. Brytania wystosowała do Albanii wyjątkowo ostrą notę, żądając odszkodowań za skutki bezprawnego zaminowania wód kanału Korfu t.j. za wylecenie w powietrze dwu kontrtorpedowców brytyjskich. Nota ta stanowiła ultimatum o tyle, że dawała 15-dniowy termin, ale nie było to ultimatum dawnego typu, lecz model 1946 : w razie odrzucenia go W. Brytania zapowiadała jedynie odwołanie się do Rady Bezpieczeństwa.

Powstaje pytanie, czy groźba ta może być skuteczna. Można ją porównać ze straszeniem swawolnego dziecka skargą do babci, gdy dziecko wie, że babcia jest sparaliżowana i nic mu nie może zrobić. Albania wie, że Rosja swoim *veto* może ją obronić przed wszelką karą. Dlatego nie byłoby rzeczą dziwną, gdyby ultimatum zignorowała.

Ale wcale nie jest pewne czy Rosja, która chwilowo unika zadrażnień, zechce z *veta* skorzystać i czy nie będzie wolała „poradzić" Albanii, by przyjęła żądania brytyjskie.

Termin ultimatum upływa w niedzielę 22 bm. Więc wszystko wyjaśni się niebawem. W każdym razie dalszy rozwój wypadków dostarczy nowej wskazówki co do obecnego układu sił w świecie, który — jak dowodzi Azerbejdżan i Grecja — nie kształtuje się na korzyść Sowietów.

Londyn, 15 grudnia 1946.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Tym spośród Brytyjczyków, którzy nie mogą pojąć, że Polacy nie są skłonni w obecnych warunkach wracać do kraju, warto jest zwrócić uwagę na informacje, jakich udzielił redakcji szkockiego pisma „*The Bulletin*" marynarz brytyjski, świadek osobliwego „powitania" repatriowanych żołnierzy w Gdańsku. Jego sprawozdanie ma tym większą wymowę dla Brytyjczyków, że chodzi tu o ich rodaka, do którego bezstronności mogą mieć pełne zaufanie.

Marynarz brytyjski należał do załogi statku „*Marine Raven*", który zawiózł transport repatriantów z Glasgowa do Gdańska. Oto jego relacja :

„Żołnierze polscy pełni byli radosnego podniecenia, gdy statek zbliżał się do portu.

„Towarzyszyły nam statki wycieczkowe zapchane krewnymi, którzy klaskali i wznosili okrzyki. Statki wystrzeliwały kolorowe rakiety.

„Gdy statek dobił do brzegu, na molo nie było cywilów. Znajdowało się tam tylko 25 czy 30 wartowników z pistoletami automatycznymi i nasadzonymi bagnetami oraz kilku oficerów.

„Żołnierze na statku umilkli i uśmiech znikł im z twarzy. Łatwo było wyczytać ich myśli : Czy do tego wrócili ! Czy byli więźniami, czy też wracającymi bohaterami, czy czym wreszcie ?"

Marynarz brytyjski podkreśla, że repatrianci zostali pod strażą załadowani do wagonów towarowych i odjechali do obozu dla repatriantów. Straże były dla nich „nie tylko niespodzianką, ale i wielkim wstrząsem".

W konkluzji świadek brytyjski tego powitania wracających żołnierzy pisze melancholijnie :

„Wydawało się rzeczą dziwną, że w Glasgow żegnała ich orkiestra, a w kraju rodzinnym tylko to".

Nas, którzy znamy położenie kraju pod okupacją sowiecką nic nie dziwi. Ale doskonale możemy zrozumieć zdumienie brytyjskiego marynarza, który na podstawie tego, co czyta w prasie, nie mógł sobie wyrobić poglądu na warunki istniejące w Polsce.

Niestety w dalszym ciągu prasa brytyjska pomija milczeniem zbrodnie, popełniane przez komunistów w naszym Kraju. Na próżno szukałoby się w pismach wzmianki o ostatnich masowych aresztowaniach, o terrorze wobec ludowców, o 40 wyrokach śmierci w ciągu jednego tygodnia i td. O niedawnych aresztowaniach wśród socjalistów pisały niektóre tygodniki, jak „*Time and Tide*" i „*Tablet*". Ale, rzecz dziwna i niepojęta : uporczywie milczy na ten temat codzienna i tygodniowa prasa socjalistyczna W. Brytanii.

Tym większy jest oczywiście potem wstrząs dla Brytyjczyka, gdy jest naocznym świadkiem charakterystycznej sceny w porcie gdańskim.

LECTOR

Polska pod okupacją: propaganda, rewolwer i cenzura

MODA NA PATRIOTYZM

Stosunek komunizmu do Państwa Polskiego w przeszłości cechowała wrogość.

Przed pierwszą wojną światową i w czasie jej trwania komuniści uważali, że Polska nie powinna być niepodległa i że ruch komunistyczny powinien rozwijać się w ramach komunistycznych organizacji państw zaborczych.

W okresie niepodległości Polski komuniści opowiadali się za przyłączeniem naszych kresów wschodnich do Republik Białoruskiej i Ukraińskiej, wchodzących w ramy Związku Sowieckiego. Podobnie odnosili się oni do granic naszych zachodnich, uważając, że „zbójecki Traktat Wersalski narzucony został narodowi niemieckiemu" (z odezwy Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Polskiej z 1933 r.).

Do roku 1942, pod okupacją niemiecką, komuniści występowali przeciwko polskiemu ruchowi oporu, ponieważ ZSRR pozostawał w sojuszu z Niemcami hitlerowskimi.

Takie stanowisko komunistów wobec Polski było jedną z głównych przyczyn ich zupełnego odosobnienia wśród społeczeństwa polskiego. Wobec tego z powstaniem PPR postanowili oni zagrać kartę patriotyzmu. Jednak pamięć przeszłości tkwi głęboko w narodzie polskim. Dlatego też propaganda reżimu warszawskiego stara się za wszelką cenę, zwłaszcza obecnie przed wyborami, przekonać Polaków, że PPR to kwintesencja cnót i miłości ojczyzny oraz, że partii tej Polska wyłącznie zawdzięcza wyzwolenie. Władysław Gomółka przyznaje się wprawdzie do błędu komunistów, równocześnie jednak przypisując wielkie zasługi PPR :

„Podstawowy błąd komunistów polegał na tym — pisze w „Trybunie Wolności" nr. 100 — *że w pełni doceniając zagadnienie walki o społeczne wyzwolenie mas pracujących, nie doceniali zagadnienia Niepodległości. Komuniści twierdzili wręcz, że Niepodległość Polski, przy burżuazyjno-kapitalistycznym ustroju społecznym, nic nie zmieni w życiu klasy robotniczej i mas pracujących, wobec czego problem Niepodległości, według ich zdania, mogła w Polsce rozwiązać tylko rewolucja na wzór rewolucji rosyjskiej. Naturalnie, że stanowisko takie było fałszywe, było błędne, co zaszkodziło bardzo poważnie organizowanej przez nich walce o społeczne wyzwolenie mas pracujących. Walki o wyzwolenie społeczne nie da się odłączyć od walki o wyzwolenie narodowe..."*

A dalej :

„PPR, uzbrojona w doświadczenie rewolucyjnych ruchów klasy robotniczej, potrafiła połączyć walkę o wyzwolenie narodowe z walką o wyzwolenie społeczne. Stanowisko, zajęte przez nas w okresie okupacji, stanowisko walki zbrojnej o wyzwolenie Polski (dopiero od połowy 1942 r. — przyp. wł.) *oraz montowanie dla tego celu frontu narodowego bez zdrajców i kapitalistów okazało się jedynie słuszne... Polskiej Partii Robotniczej nikt nie może przekreślić tych pozycyj, jakie zdobyła sobie krwią w walce z okupantem o Niepodległość i wyzwolenie Polski".*

Naród polski jednak zachowuje wielką rezerwę do tych tak świeżo dopiero nawróconych na „patriotyzm". Zmiana szyldu : „partia komunistyczna" na „robotnicza" — nie wystarcza.

TWORZENIE LEGENDY

W dążeniu do przekonania społeczeństwa o swym patriotyźmie, PPR tworzy w około siebie legendę bohaterstwa i męczeństwa. Jednym z takich „świętych" reżimu ma być Marian Buczek, który za działalność przeciwko państwu polskiemu siedział szesnaście lat w więzieniu. We wrześniu 1939 r. został wypuszczony z Rawicza i zginął w walce z Niemcami. Temu epizodowi propaganda reżimowa poświęciła bardzo wiele uwagi, organizując niedawno temu liczne manifestacje. Organ PPR, „Głos Ludu" pisał w artykule czołowym, co następuje (nr. 637) :

„Kiedy samozwańczy "Wódz Naczelny", kiedy wysocy oficerowie w malowniczych pelerynach opuścili polskiego żołnierza w obliczu wroga, na czele tego żołnierza stanął i poprowadził go do walki o wydobycie się z hitlerowskiej matni Marian Buczek, rewolucyjny więzień polityczny Drugiej Rzeczypospolitej...

„My spadkobiercy walki Mariana Buczka i wykonawcy jego testamentu, nie chcemy powtórzenia tragedii Mariana Buczka. Nie chcemy polec w niemieckiej matni, nie chcemy patrzeć na to, jak znów u bram Warszawy płoną od niemieckich bomb polskie wsie i miasteczka".

Nie można odmówić propagandzie reżimowej ani wyobraźni, ani tupetu, zważywszy zwłaszcza, że Marian Buczek zginął już dziesiątego dnia kampanii wrześniowej. Ze wstydem wyznajemy, że dotąd nie wiedzieliśmy, iż na czele wojsk walczących z Niemcami w pierwszych dniach września stał Marian Buczek.

OBOK PROPAGANDY — REWOLWER

Ta propaganda reżimowa nie odnosi wielkiego skutku. Społeczeństwo ma wyrobione zdanie o pp. Bierutach, Gomółkach, Morawskich, Żymierskich itp. Wobec tego sięga się w dzisiejszej Polsce coraz częściej do argumentu siły. Obok wojska Żymierskiego i „Bezpieki" Radkiewicza bojówki reżimowe, tzw. ORMO, mają na celu terroryzowanie społeczeństwa. Dotychczas ORMO zasilane było członkami PPR. Ostatnio Stronnictwo Ludowe wystąpiło z publicznym wezwaniem, by i jego członkowie otrzymali broń dla walki z PSL i „bandami leśnymi".

„Domagamy się broni dla naszych chłopów — cytujemy przemówienie sekretarza generalnego SL Korzyckiego w „Dzienniku Ludowym" (nr. 416). — *Domagamy się, aby do ORMO weszło jak najwięcej chłopów, naszych członków, dających gwarancję wypełnienia swoich obowiązków. ORMO będzie naszą samoobroną przed leśnymi bandytami, grabiącymi nasz dobytek i czyhającymi na nasze życie. ORMO musi opanować sytuację na wsi, a opanuje ją, gdy będzie w każdej gminie, w każdej wsi. Wówczas możność poruszania się band leśnych i udzielania im pomocy przez część PSL będzie wykluczona...*

„Obowiązkiem naszych wszystkich czołowych działaczy jest dołożyć starań, aby dzięki akcji chłopskiej zapanował na wsi spokój. ORMO wzmocni akcję przeprowadzaną przez wojsko, UB i Milicję, przyczyniając się do oczyszczenia terenu i uspokojenia opinii publicznej, oraz do wytrącenia broni agitacyjnej naszym wrogom za granicą. Sprawa ORMO staje się więc szczególnie w obecnym okresie pilna i ważna".

W takiej atmosferze odbywają się przygotowania do „wyborów".

„RZĄD PRAWDY SIĘ NIE BOI"

Pod takim tytułem zamieściła prasa reżimowa wywiad z ministrem poczt i telegrafów Putkiem, w związku z oficjalnym zniesieniem cenzury korespondencji zagranicznej. W wywiadzie tym powiedziano m.in. :

„Polska zademonstrowała jeszcze jednym dowodem — cytujemy według „Dziennika Polskiego" nr. 642 — *że nie jest i nie chce być państwem policyjnym. Rząd prawdy się nie boi, ani też przy pomocy cenzury nie chce chować jej pod korzec...*

„Na poczcie „czarnych gabinetów" nie było i nie będzie. Nie przeczę, że mogło się zdarzyć w paru wypadkach, że ktoś chciał w sposób prawem nieprzewidziany ułatwić sobie wywiad o przestępcach i sięgał w tym celu po korespondencję..."

Któż dzisiaj zapewni, że mimo oficjalnego zniesienia cenzury, „ktoś" nie będzie znowu chciał sobie „ułatwić" wywiadu wobec osób niewygodnych dla reżimu. By Polska stała się państwem naprawdę nie-policyjnym nie wystarczą zapowiedzi ministra poczty. Tu decyduje wyłącznie p. Radkiewicz, obywatel sowiecki i jego mocodawcy z NKWD.

Na potwierdzenie zaś powiedzenia, że „rząd prawdy się nie boi" w ostatnich czasach — zakazano poczcie dostarczania adresatom czterech pism, — między nimi naszego tygodnika — wydawanych w Londynie, podczas gdy każde pismo reżimowe można swobodnie tutaj kupić. Również prasa wydawana w kraju w dalszym ciągu jest ściśle kontrolowana.

Tak to wygląda wolność w pojęciach „demokratów" nadwiślańskich.

TADEUSZ NALER

Polski związek członkiem Trade Union'u

Na tle głośnej sprawy Kongresu Związków Zawodowych (*Trades Union Congress*) w Brighton, gdzie rozpętano burzę przeciw zatrudnieniu Polaków w W. Brytanii, ciekawie przedstawia się fakt, że do *Trade Union'u* należy już formalnie od roku 1943 jeden polski związek zawodowy a mianowicie Związek Rzemieślników i Robotników Polskich w W. Brytanii (ZRRP). Okazało się więc, że ostrze wystąpień na Kongresie zostało skierowano również we własnych członków *Trade Union'u*. Nie mogło to nie wpłynąć na stępienie tego ostrza i ten fakt trzeba podkreślić jako przykład, jak wiele może zdziałać prywatna inicjatywa właściwie podjęta i przeprowadzona.

ZRRP został założony w roku 1940 przez rzemieślników i robotników polskich, zatrudnionych w przemyśle wojennym w W. Brytanii. Stopniowo do jego szeregów napływali Polacy, przybywający z Kraju oraz zwalniani z Wojska Polskiego na skutek przekroczenia granicy wieku lub częściowego inwalidztwa.

Dla organizacyjnego przygotowania żołnierzy na wypadek demobilizacji na obczyźnie ZRRP uzyskał rozkaz Min. Obrony Narodowej z dnia 25 marca 1944 r., zezwalający żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na należenie do ZRRP ; pociągnęło to dalszy rozwój Związku i umożliwiło mu utrzymanie kontaktu z rzemieślnikami i robotnikami w wojsku i niesienie im w miarę możności pomocy.

Od chwili założenia (1940 r.) ZRRP współpracował ze społeczeństwem brytyjskim, a w szczególności ze związkami zawodowymi. To nastawienie znalazło wyraz w podpisaniu przez ZRRP w r. 1943 umowy z *National Union of General and Municipal Workers*, która dała polskiemu Związkowi również i formalną podstawę do wspomnianej współpracy i możliwości dalszej rozbudowy. Wskutek tej umowy członkowie ZRRP otrzymują wynagrodzenie i warunki pracy na równi z rzemieślnikami brytyjskimi i korzystają z pomocy związkowej wymienionego Związku brytyjskiego, która już dotychczas w wielu wypadkach okazała się bardzo skuteczna.

Przychylne stanowisko N.U. of G. & M. W. przyczyniło się decydująco do powzięcia przez ostatni Kongres Trade Unionów uchwały na rzecz umożliwienia polskim rzemieślnikom i robotnikom otrzymania pracy w Zjedn. Królestwie. Powyższa uchwała T.U.C. oraz fakt uznania formalnej współpracy od roku 1943 ZRRP z brytyjskimi władzami i związkami zawodowymi dały polskiemu Związkowi pełną możność skutecznego współdziałania z władzami PKPR w przenoszeniu naszych żołnierzy z Wojska do życia cywilnego w Zjedn. Królestwie ; stronę techniczną tej akcji Związek uzgadnia obecnie z N.U. of G. & M.W.

Związek Robotników i Rzemieślników Polskich w W. Bryt. może teraz udostępnić żołnierzom opuszczającym wojsko dorobek swojej sześcio-letniej pracy organizacyjnej nad budową polskiej rodziny pracowniczej na obczyźnie oraz uzyskane formalnie od trzech lat członkostwo w rodzinie świata pracy Zjednoczonego Królestwa. Żołnierze, którzy chcieliby uzyskać bliższe dane lub zapisać się do tego Związku, powinni zgłaszać się pod adres: *Związek Rzemieślników i Robotników w W. Brytanii, 66, New Cavendish Street, London, W.1.*

JAN ZAREMBA

POSZUKIWANIA

Eudoksja WOJCIECHOWSKA (Fürth, Niemcy) poszukuje syna **Nestora WOJCIECHOWSKIEGO,** ur. 22 sierpnia 1922 r. w Strzylczu, p. Horodenka, który zajęty był w rusznikarni wojskowej w Kołomyi (Małopolska), zaś 4 września 1939 r. wyjechał z Kołomyi na front w kierunku Lwowa. Ostatni adres wojskowy : 49, Huculski Pułk Strzelecki, 3 Bat. C.K. Masz.

Ryszarda SUKA, inż. elektryka z Warszawy, przebywającego prawdopodobnie w Londynie — poszukuje rodzina w kraju. Wiadomości proszę przesyłać na adres: kpr. **Zbigniew GRABOWSKI,** Knowsley Park Camp, Prescot n/r Liverpool (B.O.Z.).

KAZIMIERZ GÓRECKI, 1405, E47 Street, Cleveland 3, Ohio poszukuje kuzyna **Władysława FRODYNA** urodzonego w 1908 w Czechosłowacji, syna Franciszka i Ludwiki. Ostatnia wiadomcść: przeszedł granicę rumuńską w 1939 r.

Inż. Władysław LUKREC z Sosnowca poszukuje syna Tadeusza, lat 23, b. więźnia Oświęcimia i Buchenwaldu (blok 65). Ktokolwiek wiedziałby co o losie poszukiwanego proszony jest o podanie wiadomości na adres : **Wł. LUKREC,** Hotel de Famille, 19, rue Pasquier, Paris 8.

POSZUKIWANIA

Stanisławy **SERWAŁKO** oraz synów Kazimierza i Leonarda poszkuje **Wincenty JAROSZEWICZ,** Dixons East Camp 112, Thetford, Norfolk, który ma wiadomości od rodziny.

Aleksandra MANKIEWICZA z Warszawy, żołnierza A.K. pseudonim „Asta“, powstańca więzionego w Stalagu XIB—nr. 140050, poszukuje żona. Wiadomości proszę kierować: **Adam TUTAK,** Rivenhall Camp, Witham, Essex (106).

Mieczysław **HORODYSKI,** syn Michała i Wiktorii, ur. w 1914 r., ze Sambora, jest poszukiwany przez rodzinę w Polsce. W roku 1940 przebywał we Francji w W.P. Ktokolwiek mógłby podać bliższy adres wymienionego, proszony jest o skierowanie wiadomości pod adresem: ppor. **Adam KRÓL,** Felton Park, Northumberland.

ZAWIADOMIENIE

Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego, 276, St. Vincent Street, Glasgow, C.2, podległy Działowi Oświaty Tymczasowego Komitetu Treasury dla Spraw Polskich, zawiadamia, że od dnia 18 grudnia 1946 przyjmować będzie nowe zgłoszenia na Kurs Gimnazjalny.

Zgłoszenia na Kurs Szkoły Powszechnej oraz Kurs Przedmiotów Polskich (religia, język polski, historia i geografia Polski) — ten ostatni dla młodzieży, uczącej się w szkołach brytyjskich — przyjmuje się nadal.

PP. Wojskowi, nie posiadający stopni oficerskich, przyjęci jako uczniowie na poszczególne kursy Ośrodka, otrzymują lekcje i wskazówki Ośrodka bezpłatnie.

Po wszelki informacje należy zwracać się bezpośrednio do Ośrodka.

NA POLAKÓW W NIEMCZECH

W załączeniu przesyłam Panu Redaktorowi czek na £76.0.0 oraz Postal Order na 16s. 6d., razem £76.16.6 z przeznaczeniem dla Polaków w Niemczech. Suma ta jest pozostałością kapitału Kantyny byłego O.R.P. „Krakowiak“.

Zamiast pokwitowania odbioru, proszę Pana Redaktora o przedrukowanie tego listu w „Polsce Walczącej“.

Z poważaniem

za b. O.R.P. „KRAKOWIAK“
podpis

ZESTAWIENIE TREŚCI ZA ROK 1946

Redaktor

TYMON TERLECKI

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices) : 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty : (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.
Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń : 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne : jednokrotne 6d. za słowo, dwukrotne 9d. za słowo, trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy : jednokrotne 4d., dwukrotne 6d., trzykrotne 8d. za słowo.
Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.
Adres Administracji (Business Offices) : 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel. : FLAxman 8600